DEOTYMA
WYBÓR POEZJI
II



Warszawa
KONSTANTY TREPTE

Deotyma
Wybór
poezji
II

WYBÓR POEZJI.



DEOTYMA.

WYBÓR POEZJI.

XIĘGA DRUGA.

WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KONSTANTEGO TREPTEGO.
1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Іюня 1897 г.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

POEZJE.

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

ROMANS DO ŚPIEWU PRZY TOWARZYSZENIU VIOLI.



SŁOWIK.

Królowo moja! Różo jedyna!
Wejrzyj ku niebu: oto godzina,
W któréj się ciemność ze dniem przesili.
Ach czy pamiętasz, podobnéj nocy,
Jak się przesilał nasz los sierocy,
Kiedy to jeszcze ludźmi-śmy byli?

RÓŻA.

Czy ją pamiętam? *On* o tō pyta!
Rosa trwa długo, w kwiecie ukryta,
A łza miłości czyliż nie dłużéj?
Chociażbym kwitła do setnéj wiosny,
Téj Świętojańskiéj nocy żałosnéj,
Nic nie wygładzi z serca twéj róży.

SŁOWIK.

Pomnę... Od świtu, szedłem daleko,
Ciągle nad wodą, nad naszą rzeką,
Gdzie miały dziewy los badać kwiatem.
Może tam ujrzę moją dziewicę?

Może — dumałem — wianek jéj chwycę?
Wszak miłość, mówią, rządzi tym światem?

Zkąd takie myśli biegły przedemną?
Wszak jam niewiedział żeś mi wzajemną?
Prawdziwa miłość dziwnie nieśmiała!
Jam tylko wiedział, że pan bogaty,
Do twéj rodziny posyłał swaty,
Dom twój go witał, — a tyś milczała.

Jam był ubogi. Za skarb jedyny,
Nosiłem serce chciwe na czyny,
Rzewnie namiętne jak śpiéw słowiczy,
I jakąś jeszcze siłę nieznaną,
Któréj mi wówczas pojąć nie dano.
Jam Świętojańskiéj nieznał zdobyczy!

Cały dzień błądząc, zwolna widziałem,
Jak tłum nadpływał kraśnym nawałem.
Wianek za wiankiem fruwał koleją.
Choć nie mówiłaś czy przyjdziesz z wieńcem,
Choć już się zachód oblał rumieńcem,
Jam czekał jeszcze. Miłość... nadzieją.
W końcu, zabłysłaś!

RÓŻA.

I ja od rana,
Wyszłam do lasu, wyszłam spłakana.
Tysiąc się kwiatów prosiło w lesie,

Lecz ja zoczyłam krzak dzikiéj róży,
I już nie chciałam wybierać dłużéj.
Może mi róża szczęście przyniesie?

Wpół od radości, a wpół od gniewu,
Poobrywałam cały kwiat z krzewu,
Plotłam rękami, zaklęłam łzami.
Niech-że raz jeden — mówiłam sobie —
Z okrutnym losem tę próbę zrobię.
Wszak los nie człowiek, on nie omami?

Przebacz... Mnie samą wstyd dziś przenika —
Ja ciebie brałam — za obłudnika!
Że się twe serce ku memu skłania,
Wiedziałam, — dziewczę zawsze dostrzeże.....
Ale wątpiłam czy kochasz szczerze.....
Wszak nie słyszałam z twych ust wyznania?

Jeżeli jeszcze — rzekłam stroskana —
Nie przeczuł w wilję Świętego Jana,
Że mię z różami spotka na moście,
Jeśli za niemi w łódkę nie skoczy,
Zamrożę serce, wyjaśnię oczy.
Niech gody huczą, niech jadą goście!

Ach, bo sierocie, wyrok rodziny,
Jutro naznaczał już zaręczyny,
Z bogaczem, zimnym jak senna mara.
Już nikt nie zważał na me zwlekanie,

A ja wierzyłam że się coś stanie,
Co nas połączy. Miłość, — to wiara.

Dopóki w lesie, byłam tak śmiała!
Ale gdy w tłumie, jakżem truchlała!
Róże pod białą kryłam zasłoną.
— Aby swój wianek puścić na fale
W obliczu ludzi, — potrzeba wcale
Niemiéć miłości, lub mieć szaloną.

Mnie się zdawało, że wszystkie oczy
Na mnie zwrócone, w serca przezroczy,
Mą tajemnicę śledzą ciekawie.
A gdy ujrzałam jeszcze nad wodą,
Tyle rówiennic pysznych urodą,
Jak ja — pytałam — przed nim się stawię?

SŁOWIK.

Czyż ja prócz ciebie widziałem kogo?
Kiedy wschodziłaś płonąca trwogą,
To jakby naraz dwa słońca błysły.
Gdy wianek wodnéj rzuciłaś tęczy,
Pytałem, czemu ten lud nie klęczy?
Ty mi się zdałaś boginią Wisły!

Skoczyłem w czółno, porwałem wiosło,
Jak myśl pędziłem, serce mię niosło.
Już, już go chwytam... Los chciał inaczéj!
Wianek jak senne pierzchał złudzenie,

Uciekł i przepadł w morskie bezdenie,
A ja... spojrzałem w morze rozpaczy.

Czółno puściłem na wolę fali,
Leżąc jak martwy. — U brzegu, w dali,
Dogorywały ognie Sobótki,
Jak szczęścia mego wypalenisko.
Noc wiała żarem, — las kładł się nizko, —
Czasem kiść kwiatu spadła do łódki.

Raz, paproć moją musnęła głowę.
Dotknięcie lekkie, — a piorunowe!
Wszak to dziś kwitnie ów kwiat paproci,
Co ludzi darzy oczy takiemi,
Że widzą skarby zaklęte w ziemi?
Znajdę! On czarę dni mych wyzłoci.
I ja się stanę jak król bogaty,
Do méj królowéj wyprawię swaty,
Poślę obrączkę, odbiorę wianek.

Wybiegłem z łódki. Choć na kraj świata,
Pójdę go szukać przez dnie i lata,
Jak tylko szukać umié kochanek!

Ścieżką, robaczek szedł cichuteczko,
Ze Świętojańską swą latareczką.
Nabłogosławić go się nie mogę!
On mię prowadził wierném żarzewiem.

Jak szliśmy długo? Gdzie szliśmy? Niewiem.
Wiem, że do kwiatu pokazał drogę.

Ach, i znalazłem! Ale cóż? Nie to
Czego szukałem. Skarb to bez granic,
Lecz między ludźmi nie zda się na nic.
Jam przez cierpienie, został — poetą.

I gdy wróciłem z puszczy do świata,
Nikt mię nie poznał. Dusza skrzydlata,
Biła się we mnie jak ptaszę w burzy.
Trony na ziemi, gwiazdy na niebie,
Miałem dla wszystkich, — oprócz dla siebie.
Bo téż i żyć już nie chciałem dłużéj.
Nie miałem komu śpiéwać na ziemi,
Jam cię nie znalazł między żywemi.
Znalazłem grób twój, — przy nim, krzak róży.

RÓŻA.

Gdy łódź twa znikła, stałam zmartwiała,
Jeszcze się łudząc że sen mię łudzi.
Już mię nie trwożył bystry wzrok ludzi.
Tłum się rozpłynął, jam jeszcze stała.
Aż przyszli krewni, pod ręce wzięli;
Z rana mię całą ubrano w bieli,
Zaręczynowy pierścień włożono.
Ja ani mdlałam, ani płakałam;

Czułam że dziwnym rumieńcem pałam;
Płomień mi w czoło wrastał koroną.

Od owéj nocy, więdłam tajemnie.
Wszyscy płakali, patrzyli we mnie,
Nawet »on« płakał nad narzeczoną.

Niedługo potém leżałam w grobie.
Chciałam natenczas pomyśléć sobie,
O wielkim Bogu, o jasném niebie.
Chcialam, — nie mogłam... Ciągle w oddali,
Widziałam wianek na zdradnéj fali,
Widzialam tylko róże i ciebie!

A w grobie coraz zimniéj i czarniéj.....
Aż Bóg położył kres téj męczarni.
Do grobu mego anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą u czoła, co się rozpłania
Różowo. (Pewnie anioł kochania).

»Kto« wyrzekł »umrze z ziemskiéj miłości
»Nie godzien nieba, lecz godzien raju.
»Wrośnij-że w ziemię, serce różane,
»Aż samo, nieba zechcesz w zamianę«.

Rzekł, jam się różą zbudziła w gaju.
Była noc. Czyste jak łza niebiosy.
Wypiłam chciwie kropelkę rosy.

Czułam, że dziwnym rumieńcem pałam.
Dźwięk brylantowy sypnął się z drzewa.....
Patrzę, gdzie jestem? Słucham, kto śpiewa?
Tak, jestem w raju! *Twój* głos poznałam!...

SŁOWIK.

Jam dnie przepędzał przy twoim grobie,
Pieśnią cię wołał, płakał po tobie.
Bywa, że słowik śpiéwa bez końca,
Aż się zaśpiéwa na śmierć. Tak we mnie,
Rana tęsknoty rosła tajemnie,
Aż raz pastuszek, o wschodzie słońca,
Znalazł me zwłoki. Tłum zszedł się ku mnie,
Kładziono wieńce na mojéj trumnie,
I wszystko zcichło. — Ja, leżąc w grobie,
Chciałem zbudować pieśń o wawrzynach,
Wielkich nieszczęściach i wielkich czynach,
Pieśń się składała zawsze o tobie.

Lecz była smutna. W piersi zamarłéj,
Serdeczne rany jeszcze się darły.

Aż téż i do mnie anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą błękitną, co rozpromienia
Sam grób. (Zapewnie anioł natchnienia).

»Kto« rzekł »był śpiewcą ziemskiéj miłości,
»Nie godzien nieba, lecz godzien raju.

»Śpiewaj-że ziemię, serce spłakane,
»Aż samo, nieba zechcesz w zamianę.«

Rzekł, — jam się zbudził słowikiem w gaju.
Szczęsny, kto skrzydłem raz pierwszy wzleci!
O skrzydłach wiecznie marzą poeci.
Jam je miał. — Xiężyc błyszczał po burzy.
Mnie wciąż bolało serce spłakane,
Aż oto... balsam padł mi na ranę.....
Tém pełniéj żyłem, im padał dłużéj.
Zkądże przywionął prąd aromatu?
Patrzę: zapewnie z bliskiego kwiatu?
Poznałem różę, i *ciebie* w róży!

RÓŻA.

Wieszczu mój, powiedz, czyby nie trzeba,
Już nam się z raju wybrać do nieba?
Mnie ztąd nie spieszno, ale się boję,
Czy nie obrażą się archanieli,
Żeśmy tak długo ich zapomnieli?

SŁOWIK.

Różyczko moja! Natchnienie moje!
Zkąd ci ta troska? Czy niepokoje,
Są niewieściego serca potrzebą?
I do mnie anioł przemawiał w grobie,
A jam się na to uśmiechnął w sobie,
Kto z nas dwóch lepiéj wié gdzie jest niebo?

Człowiek zna więcéj niż aniołowie,
Bo zna cierpienie. Wierz, co ci powie
Serce, ta wieszczba słowiczo-głosa:
Niebo nie przy nas, lecz w nas się tworzy.
Gdziekolwiek żyją w zgodności bożéj,
Miłość z poezją, tam są niebiosa.

1869.

TY PÓJDZIESZ GÓRĄ, JA PÓJDĘ DOLINĄ.

Xięgi mówiły, ludzie mi mówili,
Że wszystko mylne, lecz jedno, jedyne
Przeczucie serca, nigdy nie omyli.
Ja uwierzyłam w tę dobrą nowinę,
I życie lekko niosłam od téj chwili,
Jak dziecię wierzy na słowo matczyne.
Aż czas, co wszystko rwie niepostrzeżenie,
I na téj wierze napisał: »Złudzenie!«

Znałam ich dwoje. Gwiazdy ich w błękicie,
Świeciły blisko, jak dwoje ócz świeci.
Za to ich ścieżki tak różnie szły w życie,
Że się nie mogli, wśród krętéj dróg sieci,
Ni jawnie spotkać, ni dopatrzyć skrycie.
Lecz mój wzrok, (czegóż nie dojrzą poeci?)
Obie ich drogi widział jednocześnie.
Gdzie? Nie pamiętam. Na jawie? Czy we śnie?

Ona szła górą, a on szedł doliną.
W tęczach płynęła na obłocznéj bieli.

W puszczowych jarach łamał się z lawiną.
Oboje uśmiéch i hart jeden mieli.
A ja pytałam, czy zawsze się zminą?
Skarżyłam życie, dla czego ich dzieli,
Kiedy ich gwiazdy tak bliskie na niebie,
I jak dwie gwiazdy podobni do siebie?

Ach, wyście jednak nieraz się przeczuli!
Widma, we mglistéj majaczyły szacie.
Gdyście zosobna swe rojenia snuli,
Ideał wzajem brał wasze postacie.
A wy pytając, czy na ziemskiéj kuli,
Czy aż na innych go światach spotkacie,
Szliście samotni, zatęsknieni w tłumie,
Co chłód wasz ganił, i dziwił się dumie.

Aż przyszła chwila, (jakby dziś ją pomnę!)
Kiedy jéj ścieżka, lodowcem zepchnięta,
Z grozy chmur zbiegła nad poniki skromne —
Gdy jego ścieżka, schwycona jak w pęta,
Przez nurt i ściany przepaści niezłomne,
Na stok wybiegła, jako piorun kręta.
I na wpół góry zeszły się ich drogi,
I objawili się sobie, — jak bogi.

Słowa zamienić jeszcze nie zdążyli,
Już głos w nich szepnął: »Wszak to on!« — »To [ona!« —
A ja szepnęłam: »Jeśli w jakiéj chwili,
»To w téj zaiste, przyszłość mię przekona,

»Czy serce pierwszém przeczuciem nie myli?«
A drżąca byłam, cała zapatrzona
Jakby w mą własną, w przyszłość owéj pary.
Ach, mnie chodziło o klejnot méj wiary!

Miejscem spotkania była górska łączka.
Eden, maleńki, lecz w urok bogaty.
Na wzgórzach, w koło zgiętych jak obrączka,
Las go zagradzał iglastemi kraty.
Wązki wodospad, jak perłowa sprzączka,
Przepinał razem skały, las i kwiaty,
Bo łąka była kwiatami nabita,
Jak dusza, kiedy raz pierwszy rozkwita.

Podczas gdy wzrok mój błądził po téj hali,
Oni w rozmowie, stłumionéj lecz szybkiéj,
Całą swą przeszłość już wyspowiadali.
I jakby razem chowani z kolébki,
Szli zwolna, brodząc w ziół szemrzącéj fali.
Tak dwa łabędzie toczą pochód gibki.
Czasem stanęli wśród skał, by z uśmiechem
Wzajem swe imię wywoływać echem.

Doszli do źródła. Na rozłomie głazu,
Siedli. On zrywał różowe jagody,
I na listeczku jéj przynosił. — Zrazu,
Wzrok ich był trwożny, tylko w szybie wody,
Wzajem swojego szukali obrazu.
Nagle, spojrzeli ruchem dziwnéj zgody,

Wyżéj, nie w źródło co ze skał się toczy,
Lecz w źródło czarów i łez, w żywe oczy.

Od téj się chwili stali jacyś inni.
Nad zagadkami życia zadumani
Jakby starcowie, a w życiu dziecinni.
Ledwie znajomi, a już zaufani.
Płomienni myślą, a sercem niewinni.
Jak zawieszeni w poprzek dwóch otchłani,
Stali na dziwném międzymorzu owém,
Gdzie miłość wszystkiém już mówi, prócz słowem.

Łzą, co źrenicę przemienia na djament,
Albo uśmiéchem, co usta w kwiat zmienia.
Tą grą oblicza, co ma jak firmament,
Gwiazdy i burze, słońca i zaćmienia.
I tą grą ruchów, co jak fali zamęt,
Zdradza bijące na jéj dnie wzruszenia.
I przelotami owéj nagłéj ciszy,
Gdzie dusza mówi, ach i drugą słyszy.

To czas przedburza. — Bywa, że w przedburze,
Wicher się zrywa i znów się pokłania.
W sercu, dwa prądy, jak w nawałnéj chmurze
Grzmią. Jeden woła: »Spuśćmy grom wyznania!«
A drugi błaga: »Niech jeszcze przedłużę,
»Ten przerozkoszny dreszcz oczekiwania...«
— I także bywa, że gdy wicher czeka,
Burza omdleje, i przejdzie zdaleka.

Tak się tu stało. Ona, chcąc wstydliwie
Oddalić chwilę stanowczą dramatu,
Wzrokiem po krągłéj zatoczyła niwie.
Dojrzała w dali kwiat z barwą szkarłatu.
»Jak piękny!« Rzekła. On, w niemym podziwie
U jéj stóp, niby nie słyszał. Aż kwiatu,
Tak się naparła, że musiał, jak dziecię
Posłuszny, powstać, i pójść po jéj kwiecie.

Przestrzenie w górach złudne są dla oka.
Kwiat purpurowy zdawał się tak blisko,
A drogę cięła szczelina głęboka.
Tam on się puścił. Lecz i ona, ślizką
Steczką, podbiegła w górę, i z wysoka
Śmiała się, skryta za mszyste urwisko,
Tą się pustotą mszcząc, że nie od razu
Jéj wszechwładnego usłuchał rozkazu.

Gdy ze szkarłatną powrócił zdobyczą,
Już jéj nie było. Stanął porażony.
Lecz się uśmiéchnął zaraz tajemniczo.....
Z za głazu dojrzał brzeżek jéj zasłony.
Ręką pogroził z przekorną słodyczą,
I chciał jéj zabiedz od przeciwnéj strony,
By mu nie pierzchła. Krąg zakreślił chyży,
Lecz ona coraz uciekała wyżéj.

Jak dwa motyle igrają na łące,
Jak się dwie rybki gonią przez odmęty,

Jak dwa skowronki w słońcu wirujące,
Tak oni, krążąc w skręty i rozkręty,
Głosem się tylko wiązali w rozłące.
Aż on, uporną jéj ucieczką tknięty,
Nagle się wstrzymał, i siadłszy pod drzewem,
Ręce założył z udawanym gniewem.

Jak ptaszę patrzy z za prątków ciekawie,
Tak, zadziwiona milczeniem zbyt długiém,
Z gąszczu wyjrzała w niepewnéj postawie,
I już zielonym zestąpiła smugiem.
Wtedy on, mszcząc się w odwetowém prawie,
Zaczął uciekać po wybrzeżu drugiém.
I biegli równo, bliscy siebie znowu,
Lecz rozdzieleni przecięciem parowu.

Czemuż nie miały piór nasze gołębie?
Parów nieznacznie wąwozem się stawał.
Potokiem toczył przez pomroczne głębie,
Coraz tłumniejszy kłód i złomów nawał.
Brzegi rozszczepiał jak skrzydła jastrzębie,
W ziemię się coraz przepaściściéj wkrawał,
Aż rozwarł paszczę i stał się otchłanią.
Ach, gdybyż sercem zarzucić most na nią!...

Oboje razem stanęli jak wryci.
Ku łączce chcieli powrócić oboje,
Ale kto szczęścia w pierwszy lot nie chwyci,
Niech sobie powié: »Żegnaj szczęście moje!«

Wspomnieniom brakło Arjadnowéj nici.
Skracając drogę, przeskakując zdroje,
Sami nie wiedzą, w leśném pół-przezroczu,
Jak się i kiedy utracili z oczu?

Żeby téż można przesłać im przestrogę:
»Tędy!...« — Raz jeszcze oto się ujrzeli,
Raz! Chciałam wołać, próbuję... niemogę!
Świat marzeń, ludzi od poetów dzieli. —
— Ją, sęp nastraszył, i zmyliła drogę.
On, przynęcony od jakowéjś bieli,
Wśród skał zabłądził, zbiegł do wodospadu,
Lecz do innego, — a jéj, ani śladu.

Odtąd się tylko tęsknemi wyrazy,
Długiém hukaniem wabili wzajemnie.
Głos, przeleciawszy śród nich kilka razy,
Znikł, jaskiniami schłoniony tajemnie.
Zeszli do górskiéj niejednéj oazy,
Lecz nie do tamtéj! — Aż zwolna i we mnie,
Zaczęło serce zapytywać z trwogą,
Czy jeszcze kiedy odszukać się mogą?

Przeklęty kwiatku! Bliski a daleki!
Godło rozstania! Usłysz moją mowę:
Oby do morza uniosły cię rzeki!
Obyś, rozpięty na łoże mumjowe,
W żółtym zielniku spoczywał na wieki!
Niech wina spadnie na twą krwawą głowę,

Bo téj pewności nic we mnie nie zmieni,
Że od gwiazd byli sobie przeznaczeni.

»Teraz-to«, rzekłam »dopiero zobaczę
»Nieukojone niczém niepokoje.
»Będąż to jęki! Będąż to rozpacze!
»Samém przeczuciem już cierpię za dwoje.
»On się zabije — ona się zapłacze,
»I z żalu skona. Spojrzéć się tam boję.....«
I długo, oczów nie wzniosłam struchlała.
Aż gdy podniosłam... ach! cóżem ujrzała?

Idą spokojnie, idą obojętnie,
Jakby starcowie... Swobodni, jak dzieci!
Może ich oczy mgłą zachodzą smętnie,
Ale w tych oczach żadna łza nie świeci.
Może drga boleść w prędszém serca tętnie,
Lecz jéj nie dojrzy nikt, nawet poeci.
Życie nie xiążka. — Próżna trwoga cała!
Ni on się zabił, ni ona skonała.

Niemość rozpaczy, — tak sądziłam zrazu.
W pewne też rano, gdy przy małym zdroju
Siadła, (jak owdzie!) na rozłomie głazu,
Przeszyła wodę wzrokiem niepokoju,
Jakby szukała czyjegoś obrazu,
I ust muśnięciem tknęła liść powoju.
Lecz wnet, po czole przesunęła rękę,
I poszła, nucąc pasterską piosenkę.

On, raz napotkał u wiszaru drogi,
Krzak obsypany w kiście purpurowe.
Widząc je, wydał krzyk drapieżnie srogi,
Obu rękami chwycił się za głowę,
Obrywał kwiaty, ciskał je pod nogi,
Deptał, sam z sobą wiódł gniewną rozmowę —
Aż... dał znak ręką jak na pośmiewisko,
I odszedł, nucąc piosenkę myśliwską.

Zwolna, podróżnych spotykać zaczęli,
Wyszli na szersze gościńce żywota;
Szli w tłumie rześcy, nieledwie weseli,
Do celów nowych wrzała w nich ochota.
Śmieli się nawet, — tak! oni się śmieli!
Ja, wciąż pytając, gdzie żal, gdzie tęsknota?
Zaczęłam wątpić w duchowéj jesieni,
Czy kiedy byli sobie przeznaczeni?

Wśród dziew co szepcą, i mężów co gwarzą,
Nieraz przed jedném, drugie wymieniono.
Żebyż zmieszaną zdradzili się twarzą!
Nic!... Nie zagrało ni oko ni łono.
— Ja, z oburzeniem, w którém łzy się warzą
Spojrzałem wyżéj. Byłam przeświadczoną,
Że gdy ich serca tak dalekie siebie,
Już się i gwiazdy rozeszły na niebie?

Nie! Jedna z drugą koło w kole toczy,
Jakby w objęcia brały się wzajemnie.

Czemuż tam jasno, kiedy tu się mroczy?
Tysiące pytań zahuczały we mnie.
Gwiazdy! Ja kłamstwo wam rzuciłam w oczy!
Gwiazdy się tylko uśmiechnęły ze mnie,
I rzekły: »Serce uspokój w błękicie.
»Czyż jednem życiem człowiek spełnia życie?

»Wy, zadziwieni sceny wyrwanemi,
»Możecież sądzić o boskich dramatach?
»Miłość, prologiem zaczęta na ziemi,
»Może na innych rozegra się światach?
»Wam, czucia więdną z kwiatami waszemi,
»Ale są światy o niezwiędłych kwiatach.«
— Tak, widok nieba kojąc nieskończenie,
Z xięgi mych myśli starł słowo: »Złudzenie«.

Szerszą się wiarą zapisała xięga.
»Tak!« Zawołałam. »Przeczucie nie myli,
»Lecz jeszcze daléj niż sądzimy, sięga.
»Spokojni? Wiedzą, że choć się stracili,
»To nie na zawsze, i ztąd ich potęga.
»Kto raz się znalazł, ten się w danéj chwili
»Odnajdzie, niebu wiadomym sposobem.
»Tylko pytanie, czy przed, czy za grobem?«

1869.

OBJAWIENIE SIĘ MUZY.

Wybrzeże Grecji. Po lewéj stronie morze. Nad niém brzeg skalisty. Daléj góry oświetlone złotą i fjoletową łuną zachodzącego słońca. Na pochyłości gór, zwaliska świątyni. U brzegu uwiązana łódka. Wchodzi PODRÓŻNY.

PODRÓŻNY.

Po długich wędrowaniach, staję więc na ziemi,
Gdzie człowiek bogów zwołał, i gdzie śmiał żyć
[z niemi.

Tu dusza, z codziennego letargu zbudzona,
Jakby w powietrzu piła elixir młodości,
Porywa się, i wita dawno znanych gości,
Bohaterów Plutarcha i mędrców Platona.

Przyjmij pokłon miłosny, ty marzeń mych celu,
Hellado, co jak bujne liście kapitelu,
Wykwitłaś wszech-pięknością na dziejów kolu-
[mnie!

Choć w huraganie wieków zwisły skrzydła twoje,
Choć tyle krwi zbryzgało twych szat białe zwoje,
Dziś jeszcze z sarkofagu uśmiéchasz się ku mnie.

Siada na odłamie głazu.

Tu duch mój, wytrzeźwiony z szyderstwa, co
[tknęło
Nasz wiek goryczy, może zrozumié przytomnie,
Czego Genjusz przeznaczeń spodziewa się po
[mnie?
Wszak on każdemu daje do spełnienia dzieło?
I niech się nikt nie żali, że mu żyć przystało
W dniach, gdy nie ma co czynić. Czyż chce, nie-
[ruchomy,
Siąść u szczytów, jak niegdyś bogowie błękitni
I tylko w kataklizmach świata, ciskać gromy?
Życie mógłby przeczekać! Nieraz, robić mało,
Bywa trudniéj niż wiele. Trudniéj, więc zaszczyt-
[niéj.

I mnie, duchu przyszłości, rzucasz kartę białą!
Czuję w sobie potęgi co rwą się do życia,
Chcą stwarzać i budować.

Najprzód, łódź podróżną,
W przeszłość musiałem zwrócić, sprawdzić jéj
[odkrycia,
Zwycięztwa i przegrane, by pracą napróżną,
Nie błądzić po manowcach gdzie błądziło wielu,
Nie gonić za skarbami, które już zdobyto.

Jest przecie kres wahaniu. Podróż woła celu.
Oto kraj, gdzie raz pierwszy została wyrytą,
Pierwsza ustawa wiedzy: »Znaj samego siebie«.

Kraj, gdzie wieszcz, zanim sięgnął po laur epopei,
Nim rozpiął skrzydła ody, — wzrok zatapiał w nie-
I wzywał boskiéj Muzy. [bie,

I ja, w odyssei
Mych dni, w ojczyźnie twojéj, Muzo! Wzywam
[ciebie!
Oto trzymam tablicę życia marmurową —
Muzo! Powiedz mi, jakie wyryć na niéj słowo?

Wśród zwalisk świątyni, ukazuje się postać MUZY, w powłóczystéj białéj szacie, w wieńcu z liści na głowie.

PODRÓŻNY.

Bogi niebieskie! Cóż to za zjawienie?
Czy mgła się podniosła z morza,
I jakąś myśl Fidjasza unosi w przestworza?
Czy posąg dawny, uśpiony na kwiatach,
Z pomiędzy ruin wstał niepostrzeżenie,
I przyszedł zajrzéć na czatach,
Czy nowa nie wschodzi zorza?

Chwila milczenia.

Ani mgła — ani posąg. — Zagadka nad siły.
Czy powietrze tych krain zwiewa łuskę z oczu?
Czy gdzieś na drodze, pod skałą,
Węzeł zaplotłszy w warkoczu,
Czarodziejki Tessalji urok mi rzuciły,
Że mię szaleństwo piękna obłąkało?

Milczenie.

Szał czy zaklęcie,
Sny czyli cuda,
O niech się święci, niech zwodzi mię święcie,
Błogosławiona ułuda!

Nie śmiem odetchnąć, by się nie rozwiała.....
Chciałbym pójść bliżéj, bliżéj, a truchleję,
Że z owém »bliżéj« wszystko się rozwieje.
Jak wszystkie cuda, jak wszystkie nadzieje!

MUZA zstępuje zwolna z pomiędzy zwalisk, schodzi na brzeg wyniosły, i oparta o skałę, spogląda na morze.

PODRÓŻNY.

Tak, spływaj z wyżyn, wizjo moja biała!
Zarysowana na tle błękitu,
W drżącém powietrzu unosi ją skała,
Jakgdyby w niéj zmartwychwstała
Grecja cała!

. . . .

Zbiegajcie się narody, klękajcie z zachwytu!

. . . .

Nie, tyś nie zwodną złudą wyobraźni;
Widzę cię bliżéj a widzę wyraźniéj.

O, gdyby jeszcze zechciała
W tę stronę zwrócić oblicze!

. . . .

Czémże tak cię to morze nęci tajemnicze?

Dzięki! Zwraca oblicze — ku mnie czoło skłania.
Ten wzrok! Spokojny jak gwiazda przyjaźni —
Ogarniający jak pożar kochania!...
Jakaś ty cicha, a jaka wspaniała,
Ruin królowo!
Ach, gdyby jeszcze przemówić zechciała...
Słowo!

MUZA.

Wywołana, zstąpiłam.

PODRÓŻNY.

Przezemnie wołana,
Raczyłaś zstąpić? Dla mnie? O patrz, na kolana
Padam z modlitwą dziękczynną.
Żadna już mię od stóp twych nie oderwie siła.
Po widzeniu, już tylko umrzéć się powinno.

. . . .

Ktoś ty jest, tajemnico z oczy bezdennemi?
Jam wywoływał Muzę. Tyż-byś Muzą była?

MUZA.

Taką nazwę śmiertelni dali mi na ziemi.
Na innych światach noszę nazwę inną.

PODRÓŻNY.

Ale w jakiém-że ciebie wzywać mam zaklęciu?
Talja, Polymnja czy Klio —
Którą-że jesteś z dziewięciu,
Co wawrzyny u szczytów Helikonu wiją?

MUZA.

Więc i ty uwierzyłeś w podania zwodnicze,
Jakie gmin nagromadził przy stopniach méj
[wiary?

Ja, przez nieznane wam czary,
Tak umiem zmieniać postać i oblicze,
Od gwiazd do kropli rosy spadam jednéj chwili,
Od tańca wodzonego przy fletni prostaczéj,
Do łamania rąk w rozpaczy,
Od śmiéchu, w którym dusza ma trzepot motyli,
Do lwiéj zadumy —
Wszędzie tak się przerzucam, że zdziwione tłumy,
Widząc mię tylokrotną, wszechobecną w świecie,
Rozłamały me imię za wielkie. — A przecie,
Ja jedna jestem, zawsze byłam jedna,
Jam jest — Poezja.

PODRÓŻNY.

Pozwól, niech w pokorze,
Usta na kraju twojéj szaty złożę.
Usta te odtąd, w twéj obronie śmiałe,

Będą fałsz poskramiały, Jeśli głos mój, zjedna
Twym prawdom jedno serce, dość na moją chwałę.

Mów, jak mam odpowiadać, gdy mię pytać będą,
Zkąd twój ród, gdzie kolébka, jakie twoje dzieje?

Wśród retorów się z dziwną spotkałem legendą,
Jakby odwieczny mocarz Tracji tajemniczéj,
Był ci ojcem...

Ten uśmiéch! Gdy Muza się śmieje,
Ach, to jest uśmiéch słodyczy,
Co tak dumna, że nawet gniewać się nie raczy.

Inni, od bóstw Olimpu twój ród wywodzili.....

MUZA.

Dosyć. Uśmiechu tylko godzien, kto mi znaczy
Kolébkę wśród śmiertelnych. Lecz i ten się myli,
Kto mię z Olimpu wywodzi.
Czyliż Olimp mógł istnieć, póki mnie nie było?
Wszyscy jego mieszkańcy, to bogowie młodzi,
Przybysze, miałką obdarzeni siłą,
Na których my, pierwotne stworzenia olbrzymy,
Jak na pacholę patrzymy.

Rody bogów się piętrzą, nie na dniach ni latach,
Lecz na miljonach wieków. Ich przestraszne
[dzieje,

Na których przypomnienie duch we mnie truchleje,
Rozgrywały się dawno na dalekich światach.
Do was ledwo wieść o nich przywionęła chmurna.

Znacie wiek złoty Saturna?
Saturn młodszy od Muzy. — Wiész jak gasł taje-
[mnie
Uranus, gorącemi słońcami skrzydlaty?
I ten młodszy. — Słyszałeś, jak niegdyś szalenie,
Kronos i Okeanos rozrywali światy?
I oni młodsi odemnie.

Starszych od mego rodu jest bóstw tylko troje:
Noc, Chaos i Przeznaczenie.
Wnet po nich się w wieczności ważąc nieskoń-
[czenie,
Idą bieguny ducha, — to rodzice moje:
Matką mi była Miłość, a ojcem Cierpienie.

PODRÓŻNY.

Matką ci była Miłość..... a ojcem Cierpienie.....
Pozwól — niech myśli zbiorę — ja sam się ru-
[mienię,
Ale pojąć nie mogę... przebacz, wszak ja człowiek!
Cierpienie! Czyż być może? Ty, któréj oczyma
Patrzy wieczna pogoda, — ty, u któréj powiek
Nigdy łza nie zawisła, — znałażbyś cierpienie?

MUZA.

Czyż może być poezja, gdzie cierpienia niéma?

PODRÓŻNY.

A miłość?... jeszcze przebacz..... pył mówi tak
[śmiało!
Ty umiész śpiéwać miłość z czarem, z niepokojem,
Z siłą, w kastalskiem źródle sztuki wyczerpaną,
Lecz nigdy w dziejach bogów, nigdy nie słyszano,
Aby się objawiła, żywa, w sercu twojém?

MUZA.

Czy ludzie wiedzą wszystko co się w niebach
[działo?

PODRÓŻNY.

Więc tybyś mogła kochać?

Chwila milczenia.

Już kochałaś może?...

MUZA.

Już, i jeszcze.

. . . .

Odwieczna, tragiczna to powieść.
Na jéj odgłos umarli wzdrygają się w grobie —
W niéj spoczęły najgłębsze tajemnice boże.
Tylko moim wybrańcom, kiedy chcę im dowieść
Że są wybrani, moje opowiadam dzieje.
Opowiem, tobie.

PODRÓŻNY.

Chwilkę jeszcze... Przed takiém niebem zachwy-
[cenia,
Moc śmiertelnika się chwieje...
Ja, wybrany? To słowo świat dla mnie przemienia!
Sama mi opowié?
Mów! Słucham... Duch mój, los mój, zawisł na
[twém słowie!

MUZA.

Gdy młodzieńczy, hardy, śmiały,
Saturnową mocny klęską,
Zeus na tronie siadł zwycięzko,
I wychylił czarę chwały,
Spojrzał, nie na bohatery,
Nie na bogi, — lecz boginie.
Brwi naciągnie, ręką skinie,
I wnet przybiegł syn Wenery.

Przybiegł, dał mu łuk i strzały.
Wstał król bogów z majestatu,
I w świat poszedł, hardy, śmiały,
Już nie gromem grozić światu,
Sercom tylko grozić klęską.
Z czary niepokonanemi,
Wśród cór nieba, wśród cór ziemi,
Pan Olimpu szedł zwycięzko.

Aż przybył do krainy mojéj, zaświatowéj,
Gdzie milcząca, topiłam oczy nieskończenie

W xiędze, którą mi czytać dało Przeznaczenie,
Pisanéj na tle czarném tęczowemi słowy.

Czujna byłam, jak wszyscy którzy skarbu strzegą.
Ja, Muza, w sercu strzegłam ognia niebieskiego.

Zdumiony, że tam jasno bez gwiazd ani słońca,
Zeus nie śmiał wtargnąć pierwszy, na zwiady słał
[gońca.

Wleciał orzeł, mirt świeży przynosząc mi w dzio-
[bie.
Ja, nie znająca jeszcze waszych godeł z ziemi,
Wzięłam drobną gałązkę, i roztargnionemi
Rękoma, między włosy zaplotłam ją sobie.

Wtedy, hardy i wspaniały,
Stanął przy mnie wódz niebianów,
Stanął w huku huraganów.
Chciał mię olśnić słońcem chwały,
Chciał piorunem zmódz.

PODRÓŻNY.

Zuchwały!....

MUZA.

On w źrenicach nosił strzały.
Czego inni nie dostrzegą,
Skarb, dla niego był widomy.
On miał tylko niebios gromy,
A chciał ognia niebieskiego.

Ja ciekawie patrzyłam w nowe dla mnie dziwy.
Obraz jego nasuwał złotych myśli nawał,
Ale serce milczało. Zeus mi się wydawał,
Nadto tryumfujący, i nadto szczęśliwy.

Spojrzę w xięgę gdzie przyszłość jasną stoi wie-
I w xiędze czytam: [ścią,
»Grzmiące Zeusa panowanie,
»Krótkie będzie, jak burza; — nic się nie ostanie,
»Jeżeli nie zdobyło zasługi, boleścią.«

Chciałam go wypróbować. Patrząc prosto w lica,
»Jeśli« mówię »tak silnie serce cię naklania,
»Kładę warunek, jeden, lecz bez odwołania:
»Pójdź Zeusie i proś o mnie u mego rodzica.«

Ha! Uląkł się spotkania z Cierpieniem! Pan bogów
Zbladł. — On łez niechciał wpuścić w rozkoszne
[podwoje
Swego Olimpu! — Zadrżał o pioruny swoje!

Skinął na orła, odszedł, i — wrócił się z progów.
Żądłem oczu mię przeszywszy,
Z drżeniem w głosie, rzekł ponury:
»Strzeż się! Jeśli z bogów który,
»Wyjdzie kiedy ztąd szczęśliwszy,
»Poszlę mu innego ptaka.....
»I ja wieszcz! I zemstę wieszczę!
»A ta zemsta będzie taka,
»Jakiéj świat nie widział jeszcze!«

. . . .

PODRÓŻNY.

Ukój się Muzo..... Czemuż drogie słowa,
Jakby rosa na róży, na twych ustach wiszą,
A ja czekam jak żeglarz, przerażony ciszą?

MUZA.

Tak, — tu na ustach zamiera mi mowa.....
Przychodzę do największéj życia mego chwili....
Muszę dotknąć najkrwawszéj serca mego rany....

. . . .

Był ród bogów najmłodszych — ci na ziemi żyli:
Tytany.

Ród lepszy od Olimpu, lecz nie znał sam siebie.
Pod gromami pokorny i zapracowany,
Nie czuł, że to on godzien zapanować w niebie.

Ale był śród nich jeden..... Najmilszy z postaci,
Najwaleczniejszy sercem. On kochał tak braci,
Że pojął poniżenie ich martwego życia,
I przysiągł, że wszystko straci,
Lub wróci im godność bogów.

Grom nieba już był w ręku Zeusa, w ręku wrogów.
Jeszcze niebieski ogień został do zdobycia.

PODRÓŻNY.

Prometeusz!

MUZA.

On! — W wieczność poszedł niestrudzenie,
Poszedł szukać mię. — Stanął w mém zaklętém
[kole,
Nie jak ów Olimpijczyk z pychą i wszechmocą,
Lecz cichy i łagodny; — a nosił na czole,
Znak mi dotąd nieznany, znak smutku..... za-
[ćmienie.....
Na jego widok oczy podniosłam od xięgi,
I oczy mi raz pierwszy zaszły ową nocą,
Z któréj wstaje dzień wyższy. Zaznałam dreszcz
[trwogi.....
Gdy mówił o braci losie,
Łzy miał w oczach, łzy miał w głosie.....
Słyszysz, łzy? Większéj potęgi,
Nie posiadły żadne bogi!.....

. . . .

Jam sercu panowała lat i wieków tyle —
Lecz jakież siły serca przed łzą się ustrzegą?

. . . .

Z ust mych, uniósł w jedną chwilę,
Iskrę ognia niebieskiego.

. . . .

. . . .

PODRÓŻNY.

Szczęsny! Ha! Nazbyt szczęśliwy!....

MUZA.

Kiedy z tą jedną iskrą powrócił do ziemi,
Ziemia się przemieniła.

Jak lew złotogrzywy,
Ród Tytanów, zbudzony, strząsnął pył ze skroni.
Zrozumieli, że i oni
Są nieśmiertelnemi.

. . . .

Lecz on..... Znasz jego losy — zna je ziemia cała.
Kiedy zatrzęsła się skała,
Kiedy zemsta w prawicy Zeusowéj zagrzmiała,
Wtedy zbiegłam pomiędzy Tytanidów plemię.
Poezja przyszła z nieszczęściem na ziemię.

Tyś mówił żem spokojna? Żem łez nie zaznała?
Od widoku boleści jam jest skamieniała —
Ja wypłakałam już wszystkie łzy moje.

U skały poświęcenia, i w noce, i we dnie,
Pieśniami płaczę, pieśnią ból mu koję.

Czesem, pieśń uśpi ptaka co mu targa łono.
O! W takiéj chwili, śpiéwam przepowiednię,
W xiędze przeznaczeń skreśloną
Piórem, wyrwaném ze skrzydeł nadziei:

— »Każdy ród bogów ma swój wiek z kolei.
»Przyjdzie czas, kiedy ślepe olimpijskie siły,
»Co tylko gromem rządziły,
»Przejdą jak burza, — a Tytany ducha,
»Niebo zdobędą w powtórnym rozpędzie.«

On, wieszcz, słucha z uśmiéchem, — i Zeus nawet
[słucha,
I nie może zaprzeczyć, bo wié że tak będzie.

. . . .

Oto są, serca Muzy dzieje tajemnicze.
Młodzianie! Czemu wzrok twój chmurzy się i mro-
[czy?

PODRÓŻNY.

Jeśli trzeba iść z bogów, by zwrócić twe oczy,
Pocóżem twoje oglądał oblicze?

MUZA.

Jeszcze mię nie zrozumiał?... Każda ludzka dusza,
Co bohatersko idzie przez boleść i trud,
Jest jedną chwilą w dniach Prometeusza,
Bo Prometeusz, to człowieczy ród.

PODRÓŻNY.

O! Jeśli tak, ja szturmem chcę zdobyć niebiosy!
Wziąć przyszłość w proroczém słowie!
Śpiéwać boleść na wszystkie ducha mego głosy!

. . . .

Lecz wiem-że czy dar pieśni dali mi bogowie?

MUZA.

Ach, czyż tylko do pieśni natchnienia potrzeba?
Czy to zapał, czy to wiara,
Czyn, czy mądrość, czy ofiara,
Wszystko woła ognia z nieba.
Idź, niech tylko twe życie będzie poematem,
A Muza pójdzie z tobą, przez świat, i za światem.

PODRÓŻNY.

Idę wyzwać wszystkie męki!
Albo na tarczy zostanę,
Albo wrócę zwycięzcą po wieniec z twéj ręki.

MUZA.

Ach, nie wyzywaj cierpień! Przyjdą niewołane,
Przyjdą w liczbie co ciebie samego zadziwi.
Im będziesz czuł szlachetniéj, żyć zechcesz cno-
[tliwiéj,
Tém więcéj gromów twe czoło ogarnie.
O to chodzi jak cierpieć, mężnie czy nikczemnie?

PODRÓŻNY.

A przeszłość moja? Przeszłość?.... Minęła-ż tak
[marnie?
Wierz mi, znam się z nieszczęściem. W niejednéj
Jam już wieki przecierpiał. [godzinie,

MUZA.

Któż lepiéj odemnie,
Zna tajnie twéj przeszłości? Dla tegoż jedynie,
Żeś i ty już miał swoją prometejską skałę,
Muza ci się objawia. Taką wielką chwałę,
Może tylko dać wielka.....

PODRÓŻNY.

Miłość!.... O natchniona,
Tu, na sercu rozkochaném
Spocznij — pójdź w moje ramiona!
I jam uczuł się Tytanem!

MUZA odrywa się od ziemi i zwolna pierzcha w powietrzu.

MUZA.

Wstrzymaj się! Miłość Muzy groźna, bo skrzy-
[dlata.
Im duch namiętniéj ku niéj się przybliży,
Tém ona daléj odlata,
Ale na to odlata, by pociągnąć wyżéj.

Po spiętrzonych stopniach świata,
Musisz łamać wszystkie bramy,

Musisz zrywać wszystkie tamy,
Z próby w próbę, z życia w życie!
Gdzieś i kiedyś się spotkamy,
Lecz to aż na niebios szczycie.

MUZA rozwiewa się w powietrzu. PODRÓŻNY, goniąc za jéj lotem, staje między zwaliskami świątyni.

PODRÓŻNY.

Więc iść mi za nią! Między czarne losy,
Nad gruzy świata i nad szczęścia gruzy,
Z ziemi do nieba, z niebiosów w niebiosy,
Cierpiéć i kochać, przez Muzę — dla Muzy.

Chwilę patrzy w niebo — zstępuje z gór, wsiada w łódź i odpływa.

1869.

GŁOS POWSZECHNY

DO ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

Dla naszéj ziemi to już nie nowina,
Że pieśń u ciebie brzmi jak Alleluja,
W eterze hymnu orli lot rozpina,
I pięciolistnym dramatem wybuja.

Lecz co zniedawna wieścią w naszéj ziemi,
To żeś poetą w niewiązanéj mowie.
Ach, niewiązanéj! Któż tę zgrozę powie,
Gdy się tak wiąże z sercami naszemi?

»Listy z podróży« obiegły kraj cały,
Wszędzie witane jak list przyjaciela.
Zdrowie z nich tryska jak aromat z ziela,
Dowcip z nich puszcza niezatrute strzały.

Tam staropolska jest owa prostota,
Co jakby kotek mruga filuternie.
Czasem wspomnienia zakwitną jak ciernie.
A na dnie, serce ze szczerego złota.

I my wędrujem od modrego Niemna,
Po Ren zielony. Stajem na tém samém
Rozdrożu wrażeń, gdzie wróżka tajemna,
Poezja, wiodła Edwarda z Adamem.

Bo też to była podróż nad podróże,
Gdy dwaj lutniści, płomienni i młodzi,
W kwiatach doliny i gruzach na górze,
Śledzili drożyn gdzie Natchnienie chodzi.

Starszy, śpiewając szedł, i wyobraźnią,
Między gwiazdami już widział swe trony.
I młodszy śpiéwał, w niego zapatrzony,
Dwakroć poeta: pieśnią i przyjaźnią.

Bo to jest jedną z chwał twojego ducha,
Że zapomniawszy o wrodzonéj dumie,
Pieśni swych braci jakby własnych słucha,
I chwałą drugich radować się umié.

Rozwarłeś serce, i cień Mickiewicza,
Mignął przed nami odmłodzoném licem.
Ale te rysy rozpierzchłe, są szkicem;
Ach, gdybyś zechciał zdjąć całość oblicza!

Już się głos jeden z ust wszystkich wymyka,
Woła o pełne kształty życiorysu.
Dotąd rzucałeś nam listki cyprysu —
Czemuż-byś nie miał postawić pomnika?

Wiem: taka prośba, to wielka odwaga;
Lecz że wysłuchasz, więcéj niż nadzieja,
Bo i od kogóż czarów się wymaga?
　　　　Wszak tylko od czarodzieja?

1870.

ŚPIÉW NA DWA GŁOSY.

Jest muzyka co światy wiąże grą liczbową,
Zrozumiała jedynie dla duchów przyrody.
Jest inna, co zapałem porywa narody,
Przezroczysta dla wszystkich jakby proste słowo.
Jest inna, co ma trudność i szlachetność cnoty;
Jéj zagadnień, kwiat mistrzów z namaszczeniem
[słucha.
Jest nakoniec i taka, co dla wszystkich głucha,
Słyszalną bywa tylko dla jednéj istoty.

Znałam ja dziewczę, z parą tak pogodnych oczu,
Jakby dwie aureole wykrojone w niebie,
Z duszą świéżą jak pączek róży w jéj warkoczu.
Znałam tę rozśpiewaną, jakby samą siebie.
W najgłębszych tajniach serca nuciła piosenkę,
Ale jéj przez czas jakiś nikt nie słyszał w tłumie
Wielu się odzywało patrząc na panienkę:
»Szkoda że ust otworzyć nie chce, czy nie umié?«

Byli jednak i tacy, którzy ją słyszeli,
Lecz słyszeli fałszywie, lub piosnkę niecałą.
Kilku chciało wtórować, — i zawtórowało.
Napróżno pierś trudzicie śpiewacy za śmieli!
Cóż, że piosnka taż sama, gdy z innego tonu?
Im bliżéj, tém okrutniéj dźwięki się skłóciły.
Ich śpiéw, jak przedrzéźnianie, dzieweczce nie-
[miły.
Serce trzeba dostrajać, nietylko u dzwonu.

I świat się na nią zgniewał. Pomawiał ją o to,
Że u niéj serce nieme. A ona się wzajem
Skarżyła, że świat cały dotknięty głuchotą.
I tak czyśćcem szło życie, co miało być rajem.

Był młodzian, co szedł mężnie na losy człowiecze.
Twardy głaz doświadczenia bywał mu wezgło-
[wiem.
W oczach miał, jak cherubin, i gwiazdy i miecze.
Widziałam go. — Gdzie? Kiedy? Nie wiem, — lub
[nie powiem.

W najgłębszych tajniach serca, śpiewał pieśń
[wspaniałą,
Lecz przez jakiś czar dziwny nie miała słuchaczy.
Przechodząc mimo niego, wielu się pytało:
»Czemuż takich ust pięknych otworzyć nie raczy?«

Były serca niewieście, co jak nikłe echo,
Głos jego podchwyciły. Ale pieśń młodziana,
Dochodziła je mętna, lub na wpół przerwana.
Chciały mu zawtórować serdeczną pociechą.
Próżna złuda! Umiały naśladować dźwięki,
Ale rytm był odmienny. Głos niemógł za głosem
Podążyć, i w wykrzykach obustronnéj męki,
Co miało być harmonją, stało się chaosem.

I zasmucone dziewczę i młodzian zraniony,
Nic o sobie nie wiedzą. Tłum gwarny ich dzieli
Aż oboje, fałszywe chcąc zagłuszyć tony,
Tak mocno głos podnieśli, że się usłyszeli.

O cudowne odkrycie! Niebiański zachwycie!
Ich głosy, choć odmienne, były sobie wtórem.
W jednym tonie i rytmie, nad życiem ponurém,
Wyleciały radośnie, jak zdwojone życie.

Szczęsny, kto ma co słuchać, i znalazł słuchacza!
Jak ptaszę w ukochaném ręku się rozpieści,
We wszystkiém znajdzie rozkosz, chociażby w bo-
[leści,
I na wszystko mężnieje, i wszystko przebacza.

Dla dwojga, drugie słońce weszło na niebiosy.
Z całym światem stanęli w uprzejmym sojuszu.

Życie im popłynęło pieśnią na dwa głosy.
Pieśń wyższa, niż najwyższe utwory genjuszu.

Kto tę muzykę serca zaznał choć przez chwilę,
Pojmie, czemu wybrani mają śpiewać w niebie?
Miłości! Czyż przez wieczność wyśpiewają ciebie?
Tu tylko na dwa głosy, a już nieba tyle!

1870.

SEN.

Trzy siostry Parki, władczynie ziemi,
W trzy nitki wiążą dni naszych len:
Tam śmierć, — tu życie; — a między niemi,
Pół życia, pół śmierci: sen.

Świat to osobny, iskrzących ciemnic —
Własnych praw — dziwnych uciech i prób.
Może pełniejszy jeszcze tajemnic,
Niźli kolébka i grób.

A przecież dusza, branka zwyczaju,
Tak do tajemnych przywyka trwóg,
Że codzień, (codzień!) bywa w tym kraju,
I nawet nie pomni dróg!

Ach, bo pomiędzy dzienną pogodą,
A senną chmurą, jezioro jest.
Przeszłość je zwała Letejską wodą.
Śmierć daje w niém pierwszy chrzest.

* *
*

Gdy dusza, ciasném przeczuć okienkiem,
Tak rwie się tęsknie w błękitną dal,
Czemuż-by pieśnią, niby czółenkiem,
Nie puścić się z wolą fal?

Ukołysana ruchem otchłani,
Płyń duszo! W innym świecie się budź!
Pójdźcie znużeni, pójdźcie stroskani,
Wsiadajmy w cudowną łódź.

Jeszcze nie Charon steruje w łodzi,
Lecz jakiś Genjusz nieznany. Ach,
Patrzcie: on z kształtu w kształty przechodzi....
Patrzcie: pół-anioł, pół-strach!

U brzegów, mroczne wiszą opoki.
Słychać pacierze jak szelest drzew.....
Przed nami płynie łabędź wysoki,
Zawodząc przedśmiertny śpiew.

Modremi mgłami mrzy okolica.....
I niby słońce wyjrzało znów,
Lecz słońce inne..... ma łzy xiężyca.
Wpływamy — w dolinę snów.

Po jednéj stronie, jak raj wesoła;
Po drugiéj, straszna, jak piekieł dno.
Na brzegach, gęsto kiełkują zioła,
I trzciny się z falą gną.

Sitowie życia, jeszcze tak nisko
Wrośnięte w cichą, Letejską toń,
Związując prątki, niby kołyską
Ocienia dziecięcą skroń.

I tych dzieciątek cała drużyna,
Jak mały Mojżesz wypływa z wód.
To cała ludzkość, snem, rozpoczyna
Życie, skazane na trud.

Nad kołyskami schylając głowę,
Matki śpiewają, co serce śni.
A sny latają, bezkolorowe,
Sny białe dziecięcych dni.

Ach, śpijcie błogo, bo niedaleko,
Na drugim brzegu, na złomach skał,
Z grubo zasutą trudem powieką,
Tłumy już legły jak wał.

Wszystko ubóstwo, krzepcy wieśniacy.
Oto trzy czwarte ludzkości w śnie.
Choć śpią na skale, na twardéj pracy,
Swoboda z ich lica tchnie.

Lecz ich sny, z gęsto zakrytą twarzą,
Chodzą bez kształtów, świateł ni skaz.
Ci spracowani, choć śpią, nie marzą;
Odpoczywają jak głaz.

Cicho i tęskno. Spojrzenie ducha
Znużone, wraca na pierwszy brzeg.
Co na nim świta? Co na nim grucha?
    Ach łódko, powstrzymaj bieg!

U stoków góry, stoją zwaliska
Świątyni szczęścia. Zwaliska już!
A przecie szczyt ich jeszcze połyska,
    Jako drogoskaz śród burz.

Tam przed ołtarzem, na którym świeci
Ideał boski, król snów i pan,
Wszystkie marzenia wszystkich stuleci,
    Zawodzą wiosenny tan.

Kibić wykwita z różanych rąbków;
Wawrzyn się wplata w promienny włos;
Z ramion tryskają skrzydła gołąbków;
    Wzrok orli, słowiczy głos.

Rafaeliczny wdzięk w ich postawie.
Uścisk ich dłoni wiernością cny.
Sny takie nieraz chodzą na jawie.
    Młodości! To twoje sny!

Ach, czemuż czółno tak prędko płynie?
Kraśne marzenia pierzchły..... jak sen!
Mrok zewsząd pada.... Słychać w dolinie,
    Zgrzyt zębów i wycia hjen.

Na drugim brzegu, żużlowe wzgórza,
Jak obszarpany wulkanu zrąb.
W szczelinach kipi i świszcze burza.....
Szalony, kto spojrzy w głąb!

Tam sny gorączki, tam sny choroby.
Dziwadła ciągną płomienny wóz.
Mary się wloką w kirach żałoby.....
Strach leci, siejący mróz.

Lunatyk pląsa nieludzkim skokiem.
Zmora, u czarnych milczenia drzwi,
Jak lew przysiadłszy, śmiéchem i wzrokiem,
Ze swojéj ofiary drwi.

W głębi, jaskinia, otwiera ku mnie
Paszczę, zkąd zieje krwi świeżéj woń.....
Tam sny zbrodniarzy biją się tłumnie.
Ostatnia sumienia broń!

Uciekaj prędzéj, łódeczko trwożna!.....
Ta baśń, straszniejsza jak życia treść.
Nieraz na jawie przetrzymać można,
Co we śnie się nie da znieść.

Wulkan mijamy. — Nad pierwszym brzegiem,
Ciągną się pustki smętarnych pól.
Wśród mogił, żywi legli szeregiem,
Na twarzy ich zastygł ból.

Ach, to rodzice! Ach, to sieroty!
To dusze wdowie, pomne na ślub!
Każde z nich lubéj wzywa istoty,
Każde z nich w sercu ma grób.

Sen, choć na chwilę ich uszczęśliwi.
Wracają drodzy! To ona! On!
Pełni uśmiéchu, i tacy żywi,
Że sam nie wierzysz w ich zgon!

Lecz ranek przyjdzie zwiać te uśmiechy,
I powié: »Znowu to wszystko trać!«
Ach, lepiéj nie znać sennéj pociechy,
Niż chwilę zbudzenia znać!

A jednak czasem, zagrobna ręka,
We śnie nam skréśli hieroglif łask,
Lub sądów bożych. Zasłona pęka.....
Ach patrzcie, co tam za blask!

To Jakubowa świeci drabina —
Prawdy, szczeblami, — niebo jéj tłem.
Tam się prawdziwsze życie zaczyna,
Przy którém to życie, snem.

Tam, wysunięci za kres przestrzeni,
»Widzący« mocą wewnętrznych ócz,
Ciałem uśpieni, duchem zbudzeni,
Już..... już..... chwytają za klucz.

Lecz co w koło nas? Niknie dolina.....
Ustaje zgodny żywiołów zbrat —
Góra tu nagle w bezdeń się ścina —
Czyżby tu kończył się świat?

Woda Letejska w otchłanie spada.....
Stańmy..... O nieba! Tu śmierci próg!
Gdzieś w wieczność leci straszna kaskada —
A nad nią tęcza — i Bóg.

* *
*

Łabędź poezji zaśpiewał tkliwiéj,
Plusnął, i zginął w zamęcie wód.
Zawróćmy łódkę, póki-śmy żywi!
Z łabędziem zniknął i cud.

Pierzchły obrazy..... Nikt już nie powié,
Że tędy duchów przeciągał chór.
Tylko u brzegu szumi sitowie,
I zioła wonieją z gór.

Wszystko to, zioła usypiające;
Groźna, magiczna w nich kipi ciecz.
Makówka wstrząsa główek tysiące,
Konopie chrzęszczą jak miecz.

Lecz między temi sennemi kwiaty,
Co widzę? W gąszczu, jak biała kiść,

Rośnie zwój kartek! To poematy,
Puszczają zbyt długi liść.

Nic nie usypia, nic tak nie nuży,
Jak równych rymów przedwieczny tren.
Więc i ja nie chcę śpiewać wam dłużéj,
By wszystkich nie zmroczył — sen.

1870.

WYZNANIE PRZEZ KWIATY.

FJOŁEK.

Chiałbym téż spytać, — ale się trwożę —
O czém konwalja marzy nad strugą?

KONWALJA.

Jabym się chciała dowiedzieć może,
O czém to fjołek duma tak długo?

FJOŁEK.

O czém ja dumam? Konwaljo biała,
Ty o to pytasz? Czyś ty widziała,
Pokorniutkiego tego młodzianka,
Który się do mnie skrada co ranka?
Lubi zapewnie klon co tu rośnie,
I głaz ten mszysty. A że pod głazem,
Ja sobie kwitnę, za każdym razem
Co siądzie, patrzy na mnie żałośnie.

KONWALJA.

Czemu żałośnie?

FJOŁEK.

O! Wy nie wiecie,
Jaką — choć fjołek — chlubą się szczycę.
On mnie jednemu na całym świecie,
Mnie.....

KONWALJA.

Cóż?

FJOŁEK.

Powierzył swą tajemnicę.

KONWALJA.

Nie sam tu fjołek ma taką chlubę.
Widziałżeś kiedy dziewczątko lube,
Z oczkami w ziemię, ubrane schludnie,
Co tu ze dzbankiem schodzi w południe?
Ilekroć przyjdzie, stanie koło mnie,
I mówi do mnie. Cichutko, skromnie,
Lecz rzeczy dziwne.....

FJOŁEK.

Dziwne?

KONWALJA.

Jam rada,
I ztąd u kwiatów rośnie mi chwała,
Że ta co dotąd zawsze milczała,
Mnie się jedynéj szczerze spowiada.

FJOŁEK.

I z czémże takiém?

KONWALJA.

Ba! »Z czémże takiém«!
Niby to słówko wyleci ptakiem,
I ptakiem wróci? Za nic na świecie,
Jabym powtórzyć jéj słów nie chciała.
Jak las szeroki, tak wszyscy wiecie,
Że jest konwalja bardzo nieśmiała.

FJOŁEK.

Więc, za nic?

KONWALJA.

Chyba..... Gdyby zdradzono
Coś z tajemnicy tego młodzianka,
Może i jabym — przez wymuszoną
Wdzięczność — zdradziła dziewczę od dzbanka.....

FJOŁEK.

Ja? Zdradzić jego? Za nic na świecie!
Prędzéj by gwiazdy w las pospadały.
Jak świat szeroki, tak wszyscy wiecie,
Że fjołek fjołkiem, bo jest nieśmiały.

KONWALJA.

Cóż tu zagadek? Więc choć na moje
Pierwsze pytanie, chciéj dać odpowiedź:
O czém to fjołek duma?

FJOŁEK.

Ja roję.....
Lecz nic..... Nie powiem. Ach ja się boję
Zdradzić młodzianka, bo jego spowiedź,
To słowo w słowo jest spowiedź fjołka.

KONWALJA.

A gdybym ja téż dawno wiedziała,
Co fjołek roi? Tak, wiem dokładnie.
To mi mówiła ma przyjaciółka,
Owa dzieweczka, jak ja nieśmiała.
Czy to znalazła w dzbanku swym na dnie?
Czy ów młodzianek przyniósł jéj wieści?
Wszystko wiem, oprócz źródła powieści.

FJOŁEK.

Jeśli wiesz wszystko, to wyznam szczerze,
Iż ja wiem także, o czém tak długo
Konwalja marzy nad srebrną strugą?
Od przyjaciela wiem, od młodzianka.
Czy to dosłyszał w krynicznym szmerze?
Czy mu szepnęło dziewczę od dzbanka?
Źródła nie powiem, lecz wiem i wierzę.

Długa chwila ciszy.

KONWALJA.

Przeleciał tędy anioł milczenia.

FJOŁEK.

Tak, — ten co myśli w kwiaty przemienia.

1870.

POŻEGNANIE.

(Z DRAMATU.)

Chcesz mię żegnać? Jeszcze chwilę.....
W przeznaczeniu zwrotów tyle!
W ludzkiéj mowie tyle słów!
Powiédz wszystko co masz w duszy,
Co rozrani i co wzruszy,
Co wiem i co niewiem, mów!

Lecz niech słowo »Pożegnanie«,
Wymówioném nie zostanie,
Bo gdzieś przy nas, tu czy tam,
Stoi zawsze moc ukryta,
Która nas za słowo chwyta,
I zwraca je przeciw nam.

Czy rozejdziem się na lata,
Czy pojedziem na kraj świata,
Po za przestrzeń, po za czas,
Rzućmy sobie: »Do widzenia!«
Słowo ludzkie wiele zmienia —
Może wcześniéj zbliży nas?

Jeśli nawet czasem burza,
Niebo zgody pozachmurza,
Serce zajdzie łzami z krwi,
Niech głos nigdy nie dopowie
Słowa: »Żegnaj!« Bo w têm słowie,
Urok, i zły urok tkwi.

Chmury serca są najłzawsze.
Lecz i wtedy, zawsze, zawsze,
»Do widzenia« powiem ci.
Niech znów tylko ujrzym siebie,
Chmury pierzchną w naszém niebie.
Miłość się miłością mści.

1870.

STANOWISKO KOBIETY.

Między słońcami dziejów, na niebiesiech ducha,
Nieobliczonym rozpędem komety,
Jawi się i zaćmiéwa, iskrząca a głucha,
Władza kobiety.

Gdy duch męzki, chwyciwszy cugle trzeźwéj myśli,
Jasno wytknąwszy cel, szranki i pole,
Ellipsę toczy w przeznaczenia kole,
Duch niewiasty, we mgłach kréśli,
Nieścignioną parabolę.

Rzekłbyś, że skrzydła zdała na przypadku wolę.
Ale nie drżyjcie o nią, nie drżyjcie! I ona,
Ta dziwna, ta niezgadniona,
Ma swą drogę, nieugięcie
Wypisaną w firmamencie.

Tylko, że jak dla komety,
W jéj obiegu są dwie mety,

Dwa ogniska, gwiazdy dwie —
Ta jak dzień, tamta jak noc —
Których wojująca moc,
Dwoma ją bieguny rwie.

To téż pytać jéj nie trzeba,
Czy gdziekolwiek krańce zna?
Kiedy nieba dosięgnie, to siódmego nieba.
Kiedy zstąpi do piekieł, to aż do ich dna.

Dwoista wielkość! I kogóż zadziwi,
Dwoisty sąd o niewieście?
Sędziowie! Wy mówicie sami, że jesteście,
Najnieszczęśliwsi przez nią, i przez nią szczęśliwi.

Prawo ją wiecznie stawia w drugim rzędzie,
A miłość stawia po-nad wszystkie stopnie.
Niech jawnie żąda, niczego nie dopnie —
Niech prosząc każe, a wszystko zdobędzie.

Jéj ręce okute w pęta,
A na jéj włosach korona.
Przez wszystkie wiary wyklęta —
Na wszystkich ołtarzach czczona.

Nauka ją pomiędzy niższe twory strąca,
Sztuka ją w ideału wieńczy aureolę.
Kusicielka zbawczyni, branka królująca,
Wąż u stóp, gwiazda na czole.

Wsłuchaj się w dramat dziejów, śledź ludów ro-
[zmowę,
Tam same głosy męzkie wołają: »Żyjemy!«
Chór niewiast, głębią sceny przesuwa się, niemy.
Ledwie czasem w świat ciśnie imię wyjątkowe,
Co jak palma samotnie wybujała, czyni
Jeszcze widniejszą oczom, jałowość pustyni.

Gdyby Postęp, ów jeździec Apokalipsowy,
Który cwałuje wsiadłszy na tętniący czas,
Pokazał nam sto męzkich wieńców u swéj głowy,
I groźnie zapytał nas:

»Co przyniosłyśmy jemu do dziejów budowy?
»Jakie kładły pieczęcie w społecznym sojuszu?
»Jakie spisały ustawy?
»Gdzie pomniki naszéj sławy?
»Korony genjuszu?
»Dla nauki gdzie zdobycze?
»I gdzie owa twórcza siła,
»Co jak »stań się!« tajemnicze,
»Z chaosu myśli, światy arcydzieł wysyła?«

Ach cóżbyśmy odrzekły? Z wiekami się liczę,
Cisza.

Nie! Jest odpowiedź. Miłość ją wykryła.

Ty, którego niesie czas!
Postaw pod światłością bożą,
Dzieje tych co dzieje tworzą,
A w ich sercach dojrzysz — nas.

Jeździec uśmiéchnął się ze mnie,
Jak mędrzec się uśmiécha na dowcip dziecięcy.
Spiął rumaka i szepnął: »Bronisz nadaremnie.
»Dla przeszłości to dosyć, lecz Postęp chce więcéj.«

Choć tylko szeptał, echo piorunami trzasło,
I wichrem się w niewieściéj rozpłynęło skardze.
Skargo, ty precz odemnie! Twém kwileniem gar-
[dzę —
Lecz wiem, że skarga, to hasło.

Co się stało? Jako w mieście,
Gdy uderzy śpiż na trwogę,
Tak owa skarga, w duszach wydzwania pożogę.
Słychać szum, niby skrzydeł..... To tłumy nie-
[wieście,
Rzucają ciche domy..... Falującą rzeszą
Tłoczą się, spieszą,
Gdzie? Niepewne, — każdego pytają o drogę.

Wieku nasz! Ty zwan będziesz wielkim kobiet
[wiekiem.
Niewiasta się ozwała z żądaniem nieznaném:

Dotąd aniołem była lub szatanem,
Dzisiaj, chce zostać człowiekiem.

Ach stójmy! Nim dotkniemy wrzeciądzów téj
[bramy,
Za którą chodzą siły jasne lub złowieszcze,
Chwilę..... Rozmyślmy się jeszcze.....
Powiédzcie: nie stracimyż więcéj niż zyskamy?

Nie czas ostrzegać! Rwaniem niewstrzymaném
Duch wieku je unosi..... Stało się. Niczego
Duchy wieków napróżno nie czynią przed Panem.
Więc idźmy, siostry! Postęp nam hetmanem.
Tylko, — w sumieniu, królestwa bożego
Strzeżmy, a wszystko będzie nam dodaném.

1870.

BIAŁA RÓŻA.

MAZUREK.

Śnieżnolica pól dziewica,
Mistycznym szelestem,
Róża biała mnie pytała:
»Powiédz, czém ja jestem?
»Czy miłością? Czy przyjaźnią?
»Gdy motyle, ku mnie
»Garnąc się, z wietrzykiem drażnią,
»Drżę — i milczę dumnie.
»Gdy się bluszcz do nóg mych ściele,
»Jestem posmutniałą.....
»Dla mnie miłość, to za wiele —
»A przyjaźń, za mało.«

* *
*

Różo! Ja ci powiem wszystko.
By cię pojąć, trzeba
Być kobietą i lutnistką.
Chcesz na ziemi, nieba!

Przyjaźń twoja, różą pała,
Jak przyjaźń kobiety.
Miłość twoja, wiecznie biała,
Jak miłość poety.
Czy ze sprzecznych tych żywiołów,
Szczęście ci się zbudzi?
Chcesz miłości u aniołów,
Przyjaźni u ludzi.
Tymczasem się ludzie boją
Twéj surowéj bieli,
A przed różanością twoją,
Pierzchają anieli.

* *
*

»Cóż chcesz? Może wiara łudzi?«
Róża mi odpowié —
»Lecz ja wierzyć chcę, że z ludzi
»Będą aniołowie.«

1870.

PIEŚŃ BŁĘKITNA.

Do mojéj Przyjaciółki
Eugenji Wolff.

I.

Miałam sen dziwny. U wstępu żałosny,
Że aż się łzami spłakałam rzewnemi.

Byłam ja niby jak zawsze na ziemi.
Ziemia tętniła od życia i wiosny,
Pola szumiały złotokłosym puchem,
Od gór szło grzmienie lasów i potoków,
Widnokrąg pisał poemat obłoków,
Mieszkania ludzkie, jak ul, wrzały ruchem,
I dziwno! Świat ów, lica burzliwego,
Pławił się w słońcu, omdlewał od kwiatu,
A jednak czegoś brakowało światu,
I wzrok mój łaknął, sam nie wiedział czego?

Długo chodziłam z duszą zatroskaną,
Jak przed niedoszłym do końca obrazem,
Gdzie barwom dobrze z osobna, źle razem.
-- Aż nagle, wzrok mój zgadł co mu zabrano?

Ach, cóż po blasku i krasie królewskiéj,
Kiedy tam jednéj brakowało farby?
Jednéj, a bez niéj, za nic wszystkie skarby!
Z owego świata, znikł — kolor niebieski.

Jak to być mogło? Nikt nie pyta we śnie.
Lecz mnie się zdało, że wszystko się zmienia,
Że wszystko zginie. Straszno i boleśnie,
Zwątpić o wiecznym porządku stworzenia!

Mętny niepokój ogarnął mi duszę.
Inne kolory już wzięłam w ohydę,
I szłam bez drogi, wołając: »Ja muszę
»Coś niebieskiego tu znaleźć!«

Więc idę.
Żebyż bławatek zamigotał w kłosach!
Makowych świéczek pełgają tysiące,
Mdławy rumieniec faluje po wrzosach,
Róża wyłania rubiny żyjące,
Pérz od łabędzia zapożycza piórek,
Tulipan skręca zawoje stuwzore,
Fjołek przykląkłszy nasuwa kapturek,
Złoty słonecznik aureolą gore,
Są wszystkie kwiaty ogrodów i zboża,
Ach tylko jedne niebieskie nie kwitną!

W dali, przeświéca ruchomy pas morza.
Z fal, żebyż ujrzéć choć jedną błękitną!

Wklęsłe ich ztoki połyskują stalą,
Wrą żywém srebrem gdy wichry je podrą,
W słońcu się kratą brylantową palą,
Grają wszechbarwnie, tylko nigdy modro.

Ale jak żądać od wody szafiru,
Kiedy i niebo straciło błękity?
W nocy, rozpina płat szczerego kiru,
Srebrnemi gwiazdy jak łzami naszyty.
W dzień, chmur malownych rozwija sztandary,
Lub krwią nabiera jak pożarna łuna,
Lub żółto pała jak niebo Sahary,
Lub zielonawo jak niebo bieguna,
Nigdy niebiesko!

Niech was Gracje strzegą,
Od rozżalenia podobnéj tęsknoty.
Żeglarz tak żywo nie wzdycha w dzień słoty,
Jak ja, za skrawkiem nieba błękitnego.

II.

Kiedy mi niebo odmawia lazuru
Patrzę na ludzi, patrzę oko w oko.

W czarnych źrenicach grom widzę głęboko,
Inne się mienią żyłkami marmuru,
Ja czegoś jeszcze szukam w ich przezroczu,
I szukam próżno.

Któż słowem oznaczy,
Jakby świat ludzki wyglądał inaczéj,
Gdyby niebieskich zabrakło w nim oczu?

Nie żeby piękniéj od czarnych patrzyły,
(Los by mię skarał czarnemi oczyma
Za to bluźnierstwo —) lecz są to dwie siły:
Jedną odejmij, żadna siły niéma.
Dwoistość prawem. Planety i dusze,
Ku dwóm biegunom sferycznie się garną.
Wszystko co krąży w życia zawierusze,
Musi w świat patrzéć niebiesko lub czarno.

Ach, a tam, oczów niebieskich nie było!
— Tłum krążył wielki. Każdy sobie siłą
Drogę na przebój torował. — Ja trwożna,
Zdziwiona zgiełkiem, pytałam, jak można
Bez troski chodzić, i żyć bez obawy,
W świecie gdzie braknie pierwiastku jednego?
Wzrok mój podglądał tych ludzi, ciekawy,
Czy im i w duszy nie brakuje czego?

III.

Tu znagła w sennéj wizji ujrzałam przemianę;
Świat zprzezroczał, — treść wyszła z pod po-
[włoki kruchéj.
Mogłam patrzéć w ludzkie duchy,
Jak w akwarium szklane.

Widziałam namiętności z wężowemi ruchy,
I myśli rozrośnięte w koralowe sploty,
I te muszle sumienia, w których piersi głuchéj,
Wije się robak zgryzoty,
Lub dojrzewa perła cnoty.

I byli niby ci ludzie
Jak my, — a jednak nie tacy.

Kipiała w nich żądza pracy,
Stokroć wytrzymalsza w trudzie,
Ale taka co wspólne bogactwo umniejsza,
Bo stokroć samolubniejsza.

Kwitło i pragnienie chwały,
Lecz komu pozwolono dosięgnąć jéj liści,
Temu śród ludzi one nie dawały
Nic, oprócz kolców zawiści.

Była tam i cześć dla prawa,
Lecz miała czoło Katona,
Sprawiedliwa, mądra, krwawa,
Nigdy łzą nie rozbrojona.

Tam była nawet wiara, ale pustelnicza,
Co w pieczarze, ludzkiego zapomni oblicza.

Ach, tam była i miłość. Paląca jak lawa,
Rozpieszczona jak słowik z xiężycem w rozmowie,

Lecz to miłość co pierzcha gdy sny swoje ziści.
Kochankowie, małżonkowie,
Przechodzili
W jednéj chwili
Z miłości do nienawiści.

W tym rażącym obrazie nie było półcieni.
Tam dusze się rzucały nakształt pstrych motyli.
Tam ludzie raz poważnieni,
Już nigdy się nie godzili.

Wieczna wojna szczękała w tym twardym narodzie.
Gmach uczuć się rozpękał, zapadał w otchłanie,
Bo zniknął boski cement serca: zaufanie.

Jak jednego koloru niestało przyrodzie,
Tak jednego pierwiastku światu duchowemu.
Lecz którego?

Szukając, między rzeszą chodzę.
Aż znużona, usiadłam na głazie przy drodze,
I pytam każdego: »Czemu
»Ten świat jest i z postaci i z ducha kaleką?
»Czybym ja już umarła, i rzuciwszy ciało,
»Szła na planetę gorszą, od nieba daleką?
»Boże mój! Co się tu stało?«

IV.

Jeden z przechodniów, blady, z ciemno-lśniącym
[włosem,
Przystanął, i me oczy przyciągnąwszy swemi,
Bezgłębnym ozwał się głosem:

»Przyjaźń odeszła z téj ziemi.
»Odeszła, i wnet prysły ogniwa łańcucha.
»W sercach i w tęczy próżnia stała się głęboka.
»Bo czém jest błękit dla oka,
»Tém przyjaźń dla ducha.

»Nie płacz, ale patrz mądrze, i pojmij złamaną
»Tę wizję. Dziś dopiero zrozumiész wyraźniéj,
»Czém jest przyjaźń dla świata, gdy ci pokazano,
»Czém byłby świat bez przyjaźni.«

Napróżno mówił: »Nie płacz.« Szlochanie dziecięce
Porwało mnie. Łkająca, twarz ukrywszy w ręce,
Powtarzałam to jedno, jedyne pytanie:
»A więc niéma przyjaźni?« — I niepowstrzymanie,
Jak cierpną młode pączki na majowém zimnie,
Kwiat méj duszy się zwarzył.

Gdy podniosłam oczy,
Przechodzeń jeszcze stał przy mnie.
Spojrzeniem i uśmiéchem krzepił mię naprzemian,

Uroczy!
Tajemny — i do zwykłych niepodobny ziemian.

Suknię miał czarną. U ramion opony,
Zwite w płaszcz lekki, jak szmaragd zielony,
I jako szmaragd przezroczy.

»Dobry pielgrzymie,« rzekłam, »i ciebie jéj strata
»Zasmuca? Gdzież odeszła? Choćby na kraj świata,
»Pójdę, muszę ją znaleźć! Ja tu żyć nie mogę.
»Jeśli wiesz, pokaż mi drogę.«

On wtedy ruchem ptasim rozwinął zaponę,
I poznały oczy moje,
O nadludzki widoku! To nie płaszcza zwoje,
To były skrzydła zielone.

Gdy ujrzał, że kolana zginam i truchleję,
— »Czy mię« rzekł »nie poznajesz? Jam Anioł [pociechy.
»Mam na piersiach żałobę, lecz w locie nadzieję.
»Ja łzy przemieniam w uśmiechy.

»Niech jeszcze nazbyt śmiała wiara cię nie mami,
»Że Przyjaźń łatwo znaleźć. Odeszła daleko!
»Mieszka za trzecią górą, za dziesiątą rzeką,
»I za siedmioma morzami.

»Lecz jeśli chcesz pociechy, i pytasz o drogę,
»Ja jeden wskazać ją mogę.
»Idź! Może nie drżeć, kogo duchy strzegą.
»Pójdziemy szukać — kraju niebieskiego.«

V.

Więc szliśmy przez góry. A kraj był ponury,
Świerkami i mchami porosły.
Lecz ja, na opokach, płynęłam w obłokach,
Bo skrzydła anielskie mię niosły.

W przepaściach, drąc skałę, szły rzeki nabrzmiałe.
U brzegu, ni kładki ni wiosła.
I bez nich przelecę! I przeszłam po rzece,
Bo ręka niebiańska mię niosła.

Lecz straszno gdy pomnę, jak morze ogromne,
W pomroce łysnęło zdaleka.
Tam nawet anieli, z obawy są bieli,
Gdy muszą prowadzić człowieka.

Tam bujać, okropnie. Bezmierne fal stopnie,
W cyrkowe spiętrzają się koła.
Nurt, niby sprężyna, od stóp się odcina,
I człowiek weń ciągnie anioła.

Krzyknęłam zlękniona..... On ujął w ramiona,
Zachwianą już pół-nieprzytomnie.

Uśmiéchał się śmiało, lecz skrzydło mu drżało,
Pochylon, odzywał się do mnie:

»Czy widzisz te męty? Rozprute okręty,
»Co stérczą z życiowéj topieli?
»Najśmielszych pływaczy, co toną w rozpaczy?
»Ach toną, bo skrzydeł nie mieli!«

Gdy mówił, bałwany ciskały z ust piany,
Grunt płynny umykał się stopie,
Grzmot ryczał. – Struchlała, jam nieba pytała,
Czy marzy o drugim potopie?

W otchłaniach jęczące, rozbitków tysiące,
Ostatniéj chwytały się deski.
Zwątpiłam o słońcu..... Omdlałam. — Aż w końcu,
Zaświtał skraj nieba — niebieski!

Ten uśmiech pogody, rozmarszcza twarz wody,
Huk burzy za nami już kona,
I cicha, głęboka, niebieska zatoka,
Rozwarła przed nami ramiona.

VI.

Ach urocza, z fal przezrocza,
Wschodzi wyspa. Tam spoczynek!
Cudna-ż wyspa! Cała kwitnie,

Równo, miękko i błękitnie,
Od niezapominek.

U wybrzeża, smugła wieża,
Jako morska lśni latarnia.
W żadnym wichrze niegasnąca,
Modrą gwiazdą mgły roztrąca,
I grom cicho zgarnia.

U stóp wieży, gmach się szerzy.
Lapis-lazurowe ściany,
Majaczeją w złote cętki.
Dach nad niemi wisi giętki,
Z pawich piór wiązany.

W oknach niby świecą szyby,
Z oczkowanych ziarn szafiru.
Ach czarownie, najczarowniéj,
W oskrzydlonéj téj warowni,
Wieczystego miru!

VII.

Kto z wyspy ku mnie zchodzi? Jakaś radość [wielka,
Tknęła mię, niby rzeźwość pogodnego rana.
Tak gorąco szukana, tak w porę spotkana,
To ona, pocieszycielka!

Przyjaźni, tyś niebieską! W kraśnéj uczuć tęczy,
Każdemu inną barwę od wieków nadano.
Smutek, nad mogiłami we fjoletach klęczy.
Miłość, ma szatę różaną.

Zazdrość, z wszystkiemi barwy żółtością się
[drażni.
Niewinność, z dawien-dawna odziewa się w białość.
Przyjaźń, wybrała błękit; on maluje stałość,
A stałość zdrowiem przyjaźni.

Głos jéj cichy i równy jako szept fontanny.
Czoło turkusowemi śmieje się korony.
A płaszcz taki niebieski, jakby pożyczony,
Od saméj Gwiazdy zarannéj.

Ilekroć na brzeg zejdzie, linę w nurt zanurzy.
Ach, to lina ratunku! Do niéj rwie się rzesza.
Przyjaźń z toni wyrywa, i cuci i wskrzesza,
Rozbitków życiowéj burzy.

Z urny wysącza balsam, od niéj saméj znany,
Usypiający zwolna jad wszelkich katuszy.
Jeśli nie może zgoić, przycisza choć rany,
Cudowna lekarka duszy.

Namaściwszy rozbitka, barki mu osłania.
Jak Biblijna niewiasta, podaje dwie szaty,
Dla ciała i dla ducha, — i prosi, w bogaty
Swój dom, gdzie setne mieszkania.

Własnych praw niepamiętna, cudzych nie naruszy,
Wszystkie zacne uczucia mogą mieszkać przy niéj.
Wszystkie umié pomieścić mądra gospodyni.
Przyjaźń rozszerza gmach duszy.

Głodne serce prowadzi do sutego stoła.
Tam śmieje się lub milczy, bo trzyma za tętno
Rękę gościa, i umié ze smutnym być smętną.
Ze szczęsnym, jak dzień wesoła.

Nad stołem zégar świeci, lecz milczy. Psotliwa
Czyjaś ręka, wyjęła jedną z wag zégaru.
Kto wyjął? Przyjaźń sama. Tam czas się pozbywa,
Połowy swego ciężaru.

Przy uczcie, płynie napój z przeczystego zdroju,
Co niegdyś bił w Edenie. O szczęśliwy, komu
Choć raz, niebieska pani niebieskiego domu,
Dała pić z czary pokoju!

. . . .

Oglądam się zdumiona, gdzie Anioł pociechy?
Przyjaźń weszła, on zniknął, jakby się ztopili.
Czy on sam był Przyjaźnią? Może, bo w téj chwili,
Wykwitły mi z łez, uśmiéchy.

VIII.

Jak mój sen snuł się daléj? Zapamiętać trudno,
Dziwnie w myślach splątany z obrazami jawy.
Wiem że gdy się zbudziłam, żal mię objął krwawy,
Czemu on marą ułudną?

Dziś już mi pamięć jego nie cięży boleśnie.
Składam ręce, wdzięcznością ku niebiosom pałam.
Cudowny sen się ziścił! Ja nietylko we śnie,
Lecz w życiu Przyjaźń spotkałam.

Długo świat przed mém okiem stał niedokończony,
Brakło pasma w méj tęczy, ogniwa w łańcuchu,
I tęskna się na wszystkie oglądałam strony,
Szukając siostry po duchu.

Lata mijały, ludzie mijali się ze mną,
Jeszcze jéj nie znalazłam. W połowie podróży,
Na niebie moich losów zrobiło się ciemno,
Grom wybił godzinę burzy.

Za wszelką szczęśliwością zatrzasły się wrota.
Pod wszelkiém ukochaniem rozwarły się groby.
Przystanęłam na pustym gościńca żywota,
Samotna, w kirach żałoby.

Wówczas Ty, o najdroższa! Ty, którą zwać mogę
Połową, ach i lepszą méj duszy połową,

Jakby anioł pociechy zeszłaś na mą drogę,
Tajemna, z gwiazdą nad głową.

Przygarnąwszy pod skrzydła wieczystych nadziei,
Moje serce pokłute zjątrzonemi rany,
Uniosłaś mię nad falą życiowéj zawiei,
Na jakiś brzeg mi nieznany.

Tam się zaczęłaś mienić. Coraz już wyraźniéj,
Biorąc niebieskie szaty i niebieskie cechy,
Stałaś mi się nietylko aniołem pociechy,
Lecz objawieniem przyjaźni.

Jak podróżny, gdy płaską łódeczkę podsunie,
Pod zaklęte wiszary Lazurowéj groty,
Widzi nieziemskie kształty i srebrne istoty,
Spławione w błękitnéj łunie —

Tak dla mnie, odkąd błysłaś, wspaniale łagodna
Świat zbłękitniał. Z czystego Twoich cnót odbicia,
Srebrny kształt ideału wytrysnął, i do dna
Rozświetlił jaskinię życia.

Odtąd róże i lilje niebiesko mi kwitną,
Wieczny skrawek lazuru świta na mém niebie,
I lira mych przeznaczeń, dotknięta przez Ciebie
Rozpływa się w pieśń błękitną.

1870.

SYMFONJA ŻYCIA.

SCENA LIRYCZNA

NAPISANA NA STULETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN

BEETHOVENA.

GRANA W WARSZAWIE NA SCENIE WIELKIEGO TEATRU
DNIA 17 GRUDNIA 1870 ROKU.

5-ta Symfonja L. Beethovena (C-moll) Op. 67.



„Tak przeznaczenie puka do człowieka".

(Słowa, jakiemi Beethoven odpowiedział na zapytanie: *„Co znaczą trzy uderzenia rozpoczynające niniejszą Symfonję?"*)

Krużganek z kolumnami. W głębi gaj. Na przodzie stół i krzesło. Na niém siedzi BEETHOVEN, o stół oparty, z twarzą ukrytą w rękach. Przed nim na stole kałamarz, pióra i papier nutowy.

Od strony gaju wchodzi MUZYKA, w klassyczném ubraniu, z gałązką laurową w ręku. Zbliża się do BEETHOVENA i kładzie mu rękę na ramieniu.

MUZYKA.

Jestem przy tobie. Zbudź się Beethovenie!

BEETHOVEN.

Ja nie śpię.

MUZYKA.

Nie śpisz? Zwykłe życie ludzi,
Jest półsennością. Dopiero natchnienie,
Duszę do życia prawdziwego budzi.

BEETHOVEN.

Pod pieszczotami téj niebiańskiéj ręki,
Czuję..... mój duch się wytrzeźwia z pomroki.
Miałem sen straszny, a taki głęboki!
Tam..... pośród ludzi. — Ach Muzyko, dzięki

Żeś mnie zbudziła, ty serafinowa
Kochanko moja, ty za którą muszę
Iść w nieskończoność! Zabrałaś mi duszę.
Jam twój na wieki!

MUZYKA.

Wszystkie twoje słowa
Muzyka słyszy — i w muzykę zmienia.
My się kochamy jako dwa genjusze.
Tak, ja cię kocham! Zabrałam ci duszę,
Dla ciebie zdradzam tajniki stworzenia,
Dla ciebie schodzę z kraju słońc do ciemnic.
Pójdź w nieskończoność z kochanką! Mów śmiało,
Coby twe serce odgadnąć dziś chciało?
Muzyka niema dla ciebie tajemnic.

BEETHOVEN.

Wszystko mi błogie póki tyś jest przy mnie.
Lecz między ludźmi! Głos się kłóci z głosem.....
Już wszystkie gwiazdy chodzą w zgodnym hy-
A życie ludzkie jeszcze jest chaosem! [mnie,
Łka wszelkie serce, wszelki duch narzeka.

Ja się wsłuchałem w pieśń świata całego,
I oburzony, pytam się, dla czego,
Wszędzie harmonja, prócz w życiu człowieka?

MUZYKA.

Ach, jak się mylisz! Jest i tam harmonja.
Lecz by ją pojąć, niedość słyszeć głosy

Jednego świata. Życie, to symfonja,
Gdzie grają piekła, ziemia i niebiosy.

BEETHOVEN rozkłada zwój papieru.

Czekaj..... Co powiesz, to spiszę na jawie,
A kiedy wrócę półsenny do ludzi,
Twe objawienie śmiertelnym objawię.
Kto mnie zrozumié, ten się także zbudzi.

Chwila milczenia.

MUZYKA.

Słuchaj..... Ktoś idzie przez ciemność i ciszę.....
Staje. — A teraz, mów: co słyszysz?

BEETHOVEN.

Słyszę
Trzy uderzenia..... Najśmielszemu trzeba
Na ten dźwięk zadrżéć..... On jakiś złowrogi.

MUZYKA.

Duchy nie mogą słyszéć go bez trwogi.
Tak Przeznaczenie puka do bram nieba.

BEETHOVEN.

Czegóż chce?

MUZYKA.

Woła piersią całéj ziemi:
»Pójdź duszo młoda! Przyszła koléj twoja.«

Na ten dźwięk, (znany między szczęśliwemi!)
Patrz: całe niebo się zaniepokoja.
Potęgi rajskie, jak goście, żałośni
Z przerwania uczty, w krąg szepczą pytanie:
»Kto mu otworzy?« A żadna nie wstanie.
A Przeznaczenie puka coraz głośniéj.
Lecz oto, patrzaj: młoda dusza sama,
Porwana głosem swego Przeznaczenia,
Zrywa się, ogniem trwogi zarumienia,
I do drzwi bieży.....

BEETHOVEN.

Rozwarła się brama!

MUZYKA.

Wszedł gość.

— »Co niesiesz pod szatą tajemną?«
Drżąc pyta dusza — »Klucz chwały czy zguby?«

A on: »Co sama wybierzesz. Idź ze mną,
»W podróż zasługi, na planetę próby.«

Żalem wybuchnął chór całych niebiosów.
Jeszcze ją duchy wstrzymują u bramy.

»Wrócisz-że taką jaką cię żegnamy?
»I czy powrócisz?«

BEETHOVEN.

Z pomiędzy tych głosów,
Rozróżniam jeden..... Ach, to jeszcze biała,
Ta młoda dusza skarży się i wzbrania,
I wypłakuje zwrotki pożegnania.
Tak niebo żegna, jakby umierała!

MUZYKA.

Bo kto się rodzi dla jednego świata,
Ten dla innego umiera.

Chwila milczenia.

BEETHOVEN.

Skrzydlata
Kochanko! Powiédz: chyba owa dusza,
Nie taka młoda? Chyba już w tę drogę,
Nie po raz pierwszy z wieczności wyrusza,
Kiedy przeczucie jéj daje tę trwogę?
Takie przeczucia, to jakby wspomnienia.

MUZYKA.

Może i zgadłeś.

Milczenie.

Ale słuchaj daléj:
Życie nie czeka. Dusza, choć się żali,
Padła w objęcia swego Przeznaczenia.

To ją porywa, płaszczem swym osłania,
Wynosi z nieba śród czci i pokłonów.
Patrz: wszystkie światy zerwały się z tronów,
Ruchem podziwu i uszanowania.

BEETHOVEN.

Tak, niech powstają! I ty, Przeznaczenie,
Ukorz się! Dusza idąca w kraj próby,
Większa niż słońca, śmielsza niż cheruby.
Tamte widzami, ta walczy w arenie.

Długie milczenie.

MUZYKA.

Otchłaniami mrocznemi, dusza spada ku ziemi,
Usypiana milczeniem i nocą.
Zapomina powoli, z czyjéj leci tam woli?
I zkąd przyszła? I dokąd? I po co?

Budź się duszo! Już blisko, twój świat, niby ska-
[lisko,
Na bezbrzeżne rzucony jezioro.
U wrót życia, dwie wierne, losów ludzkich
[odźwierne,
Z Przeznaczenia rąk twardych ją biorą.

To dwie nieba wygnanki, dwie aniołów kochanki.
Trudny wybór, tak piękne są obie:
Jedna Miłość słoneczna, druga Boleść odwieczna.
Kiedy chodzą, to zawsze przy sobie.

Jeszcze nie zna ich z twarzy, już na łonie ich marzy
Młoda dusza, gdy smętne piastunki
Na świat groźny ją wnoszą. Patrz, jak z gorzką
[rozkoszą,
Ognistemi ją budzą całunki.

Hej pacholę, pędź w życie! Jako pielgrzym
[o świcie,
Młodzian porwał za trzcinę podróżną.
Spojrzał w okrąg nieśmiało: pyta co się z nim
[stało?
I chce sobie przypomnieć..... Napróżno!

Gdzie te światła bez cienia? Prawda co się nie
[zmienia?
Gdzie te duchy pokrewne, z któremi
Tak się żegnał żałośnie? Tu mrok rośnie a rośnie...

BEETHOVEN z zapałem.

Jednak, nawet w ciemnościach téj ziemi,
On zachowa nadzieję, że ta światłość istnieje!
Tęskni za nią, jak sen ją pamięta.
Choć na zewnątrz przyćmiona, wszak w nim
[samym jest ona,
Pod postacią sumienia zaklęta?

MUZYKA.

Więc nadzieją tą zbrojny, do życiowéj się wojny,
Jak do tańca zabiera. I roi

Wielkie dzieła dla świata; plan rozkłada na lata,
I w przyszłości lubuje się swojéj.

Lecz dnie gonią podchwytnie. Ledwie człowiek
[zakwitnie,
Czas niszczyciel już prawa doń rości.
Jeszcze nic nie dokona, a już dusza znużona,
Prześpiewała *Allegro* młodości.

Milczenie.

BEETHOVEN.

I ty znużona, zwieszasz białe czoło..... Spocznij.
Ja w nuty zaczaruję słowa méj wyroczni.

MUZYKA siada na stopniach kolumny, i z liści laurowych zaczyna pleść wieniec.

BEETHOVEN pisze. Przez ten czas, niewidzialna orkiestra wykonywa *Allegro* jego 5-téj Symfonji (C moll).

Po skończoném *Allegro*, BEETHOVEN kładzie pióro. MUZYKA wstaje.

MUZYKA.

Dusza siadłszy przy drodze na pierwsze spocznie-
[nie,
Zaczyna się rozglądać..... Zkąd jéj ta tęsknota?
Chociaż nic ją nie boli, co jéj piersią miota?

BEETHOVEN.

Myśl!

MUZYKA.

Gdy raz myśléć zacznie, myśli nieskończenie.
Myśl wygrywa *Andante* w symfonji żywota.
Przyglądając się światu zewsząd zamkniętemu,
Widząc skutki bez przyczyn, wyzywa na spowiedź
Żywioły, xięgi, ludzi. Śmié zapytać: »Czemu?«
A gdy raz to wyrzekła, wszędzie i każdemu
Powtarza zapytanie.

BEETHOVEN.

Któż jéj da odpowiedź?

MUZYKA.

Ludzie odpowiadają, lecz każdy inaczéj.
Przyroda, co tak chętnie swe dziwy tłumaczy,
Ma odpowiedź na wszystko, prócz na owo: »Cze-
[mu?«
Dusza rzuca pytanie Przeznaczeniu swemu,
Ale czyż Przeznaczenie odpowiadać raczy?
Patrz jak Myśl prędko buja: w Tytana wyrosła!
Do Stwórcy się od ludzi wyprawia za posła,
Dziwi się Jego rządom, przymawia ustawom.
Bo i czemuż na opak wszystko idzie, prawom
Jakie z ojczyzny światła, w sumieniu wyniosła?
Wielka ją melancholja ogarnia.

BEETHOVEN.

Tak wcześnie!

MUZYKA.

Teraz czarna godzina. Zwątpiła boleśnie,
O celach jakie życiu stawiała własnemu,
Zwątpiła o światłościach jakie pomni we śnie,
Zamilkła i przestaje nawet pytać: »Czemu?«

MUZYKA znowu siada na stopniach kolumny, i daléj wije laurową koronę.

BEETHOVEN.

I jéj usta zamilkły. Tę chwilę uchwycę,
By w nuty zakląć, ludzkiéj myśli tajemnice.

Chwyta pióro i pisze. Przez ten czas orkiestra wygrywa *Andante* symfonji.

Ze skończeniem ustępu, BEETHOVEN przestaje pisać.

BEETHOVEN kładąc pióro.

Otóż jest i Andante, gorzko uroczyste,
Jako gracz co się z summą rozczarowań liczy.
Sam gdy je słyszę, nie mogę zaiste
Wstrzymać uśmiechu goryczy.

MUZYKA wstaje.

I nie ty jeden uśmiechasz się tak.
Tak uśmiechnie się każdy, który badał wiele.
Uśmiech szyderstwa noszą myśliciele,
Jako wieczny na ustach zapytania znak.

Po chwili.

A strasznym w duszy jest głos ironji.
Łzy jéj zjadliwe kamień przewiercą.

Ona w życiowéj symfonji,
Wybija szalone *Scherzo.*

BEETHOVEN chwyta pióro.

Czekaj.... Napiszę Scherzo. Już węże złowieszcze,
Pod mojém piórem syczą.

MUZYKA.

Zatrzymaj się jeszcze.
W duszy dla natchnień otwartéj,
Szyderstwo może mignąć pustotą niewinną,
Ale nigdy nie powinno
Zapisać osobnéj karty.

BEETHOVEN odsuwa pióro i papier.
Chwila milczenia.

MUZYKA daléj.

Patrz, już i pielgrzym żywota,
Zrzuciwszy z serca ten uśmiéch goryczy,
Wstał. Żądza ruchu nim miota,
I poszedł w świat tajemniczy.

Ach, sam nie wiedział, jak z myśli rozwiciem,
Liczba nieznanych wyrosła w nim sił.
Od dzisiaj, będzie mniéj myślał nad życiem,
A więcéj żył.

Z rosnącym zapałem.

Dziwi się człowiek, jak mu inaczéj
Wygląda życie, gdy je zobaczy

I dotknie zbliska. To inny świat!
Twardsza niż sądził skała rozpaczy,
Lecz i wonniejszy rozkoszy kwiat.

Dusza-bohater podniosła głowę,
W czyn weszła jak w żywioł swój.
Symfonjo, uderz w trąby spiżowe!
Życie, to bój.

Patrz: człowiek z Przeznaczeniem bierze się za
I zdobywa sztandary! [bary,

BEETHOVEN posępnie.

I traci sztandary.

MUZYKA z uniesieniem.

A wszystkie słońca ze drżeniem promieni,
I wszyscy aniołowie z wielkiém serca biciem,
Patrzą, z obłoków trwożnie wychyleni,
Na walkę człowieka z życiem.

Cofa się, jakby z trwogi.

Straszny to widok..... Ach, co się tam dzieje!
Słońca pobladły..... Anioły pobladły.....
Za wiele pokus! Duch traci nadzieję.....
Człowiek upada..... On już wpół-upadły!
Słyszysz jęk jego?

BEETHOVEN gorąco.

O Boże!
Czyż nie ukrócisz losu co go nęka?
Czyż go niczyja nie podniesie ręka?

Z wyrzutem.

Więc nic go zbawić nie może?

MUZYKA podnosi ręce.

Jedna może go zbawić, ta jedyna siła,
Jakiéj mu piekło zazdrości:
Z otwartych niebios wizja zestąpiła:
To objawienie Miłości!

BEETHOVEN wstaje z głową wzniesioną.

Teraz już wyższy nad wszelkie klęski!
Ta co na świat go wniosła z powicia,
Ta dziś go wskrzesza. W symfonji życia,
Ach, Miłość, to hymn zwycięzki!

Miłości! Matko wiary! Przez ciebie
Człowiek się godzi z prawdy wiecznemi.
Kto raz istotnie kochał na ziemi,
Ten już nie wątpi o niebie.

Zamyśla się — zwolna siada i skroń opiera na ręku. — Po chwili milczenia, jakby ocucony, podnosi głowę.

BEETHOVEN dalej.

A Boleść?

MUZYKA.

Boleść? O, téj nie potrzeba
Dla śmiertelnego przywoływać z nieba.
Znajdzie go!

BEETHOVEN.

Codzień objawia się przed nim,
We łzie powszedniéj, i chlebie powszednim,
W tém co się traci, i w tém co się zmienia,
A najstraszniejsza, gdy ma twarz sumienia.

Długie milczenie.

MUZYKA.

Dotychczas, człowiek wszystko rozpoczynał.
Odkąd w Miłości poznał szczyt harmonji,
Zaczyna kończyć. Bieg jego symfonji
Wstępuje w olbrzymi *Finał.*

W życiu on bywa i trudny i długi,
Lecz wszędzie koniec probierzem zasługi.

Im daléj w lata, im na zewnątrz ciszéj,
Tém duch wyraźniéj grę przypomnień słyszy.
Jedne zawodzą szlochaniem namiętném,
Inne się modlą i grobowców strzegą.

Dnie mkną... Czas bije przyspieszoném tętnem...
Dusza dobiega Przeznaczenia swego.

To ją porywa i płaszczem osłania,
Wznosi, przy dźwięku pogrzebowych dzwonów.

Po drodze, światy zrywają się z tronów,
Ruchem postrachu i oczekiwania.

Znów Przeznaczenie przed niebieską bramą
Stanęło, — puka..... Ale już nie samo;
Tą razą, duszę prowadzi z powrotem.

BEETHOVEN.

Duchy szczęśliwe! Czy jéj otworzycie?
Ty mi, kochanko, powiédz!

MUZYKA.

Nie. Już o tém
Zamilczę. Biorę ten wawrzyn za świadka,
Że obiecałam ci wyśpiewać *życie*,
Ale co daléj? To śmierci zagadka.

BEETHOVEN składa ręce.

A więc *ja* powiem tajemnicę bożą:
Chociażby dusza stała nad otchłanią,
Miłość i Boleść, jeśli poszły za nią,
Same jéj niebo otworzą.

Chwyta pióro i pisze. MUZYKA siada na stopniach kolumny i kończy splatanie wawrzynu.

Przez ten czas orkiestra gra *Scherzo* i *Finał* symfonji.

Podczas ostatnich aktów *Finału*, BEETHOVEN rzuca pióro, znużony ukrywa twarz w rękach i zapada w zamyślenie.

MUZYKA wstaje, wieniec laurowy kładzie na głowę BEETHOVENA, ręką od ust rzuca mu w powietrzu pocałowanie i znika.

1870.

KULIG.

PIOSENKA NOWOROCZNA.

Otwierajcie wszystkie bramy!
Pochodnie wynoście!
Z nowinami przyjeżdżamy,
Nieproszeni goście.

Czy to pałac, czy poddasze,
Radzi nam są wszędzie.
Jadą przyszłe Losy wasze,
Jedzie to »co będzie.«

Życie ludzkie ślizką sanną,
Jedzie we sto koni.
Czas jest wilją nieustanną,
Co za jutrem goni.

Nikt nie zgadnie co wieziemy,
Łaskę czy niełaskę?
Bo na twarzy, jeszcze niemej,
Losy noszą maskę.

Dzwońcie dzwonki! Grzmij kapelo!
 Tańcz dziwaczna zgrajo!
Niechaj ludzie się weselą,
 Póki nas nie znają.

Obiecujmy góry złote!
 Człowiek znów rozpocznie,
Omylaną swą robotę.
 I to tak rokrocznie.

Maska śliczna! Lecz jeżeli
 Zdjąć nam się ją zdarzy,
Oj! Możebyście woleli,
 Nie znać naszéj twarzy.

A może téż w niéj znajdziecie
 Piękność niespodzianą?
Więcéj szczęścia jest na świecie,
 Niż o tém pisano.

Na wilję Nowego roku 1871.

ODA DO MIŁOŚCI.

Nicość się budzi....
Kto z blaskiem i hukiem,
Pędzi pod niebios tryumfalnym łukiem?
— Przez obszar Nocy ponuréj,
Przez odwieczne siedziby Milczenia i Mrozu,
Miłość pędzi z pochodnią.

Do skrzącego wozu,
Wprzęgła fenixy z gołębiemi pióry.
W lot rzuca kwiaty i kręgi błękitu.
Pod jéj spojrzeniem odtaja co skrzepło.
Pochodnia jéj roznosi dwa żywioły bytu:
Światło i ciepło.

* * *

Kto gwiaździste globusy w równowadze trzyma,
Że ni się w otchłań ztoczą, ni rozpadną w łomy?
Wenus-Uranjo z jasnemi oczyma,
Pogromicielko Chaosu!

Ty wiecznêm przyciąganiem związujesz atomy—
Ty słońca z planetami związujesz w rodzinę —
Ty wszystkie światy związujesz w jedyne,
Boskie królestwo Kosmosu.

* *
*

Jedna twa ręka światy, druga serca trzyma.
Ach, wszystkie słońca niczém, wszystkie glorje
[niczém,
Przy jednêm twém spojrzeniu, gdy spojrzysz
[oczyma,
Nie myślowego widma, lecz żywéj osoby —
Lub obejrzysz się wielkiém narodu obliczem —
Albo pukaniem wspomnień tajemniczém,
Drogie otwierasz nam groby.

* *
*

Przy każdym grobie, jak anioł kochania,
Stoi żal czyiś; na okręgach urny,
Skroń, w ciemne fjołki przybraną pokłania,
Ale skrzydła wywija ku krainie górnéj.
Czeka, i tęskni, i o drogę pyta,
I tym co już odeszli, spotkania zazdrości.

W tobie leży cudowna, pod bólem ukryta,
Rękojmia nieśmiertelności.

Na to-ż by dusza mogła kochać tyle,
Nieogarnione ogarnąć przez chwilę,

Łzy lać na trumnach od krwi samėj krwawsze,
Aby zgon miał zakończyć wszystko? I, — szy-
[derca —
Gorzki żart z życia wyryć na mogile?
Nie! Miłość wiecznie szepce te słowa: »Na zawsze!«
Niemylne proroctwo serca!

* *
*

Wizjo innego życia! Twojemi oczyma
Wglądamy w lepsze światy. — Figlarny pie-
[szczoszku!
Ty kradniesz klucze Szczęścia, i już tu, po troszku,
Obdzielasz nas tém wszystkiém, czego ziemia
[niéma.

* *
*

Ilekroć, o Miłości! zabłysłaś przedemną,
Świat się z szarego stawał brylantowy —
Czas mi był jasnym i wieczność nie ciemną —
Głos ludzki, boskiéj nabierał wymowy.

Lepianki mi złociłaś w babilońskie stropy.
Śniegi zmieniałaś w róże, na pierś je włożywszy.

Ach, gdy Ojca kochane całowałam stopy,
Któż był i w raju szczęśliwszy?

* *
*

Lecz ilekroć odemnie odwróciłaś lica,
Dreszcz mię ogarniał.... ciemność.... nawałnica...

Uczułam że na wszystko odważyć się można,
Aby tylko odzyskać światło twéj pochodni.
Pojęłam nawet, (o myśli bezbożna!)
Możebność zbrodni.

I zaczęłam na ludzi spoglądać łagodniéj.
I przestałam się dziwić szaleństwom rozpaczy.
Kto wiele kochał, ten wiele przebaczy.

* *
*

O ty! Czy masz przyjaciół uśmiéchy anielskie,
Czy w kochanków uścisku zaklniesz wszystkie
[czary,
Czy kładziesz łzy i ogień w piersi rodzicielskie,
Czy bohaterom dajesz skrzydła i sztandary,
Czy ból namaszczasz białą miłosierdzia ręką,
Czy męczennikom jesteś i niebem i męką,
Potężna wszech-tworzycielko!
Olimpijska łudzicielko!
Wieczna Ewo kusicielko!
Madonno pocieszycielko!
Archanielska wskrzesicielko!
Miłości! Tyś zawsze wielką —
Wielką w twoich zwątpieniach — większą w twojéj
[wierze —
Jeszcze większą w żądaniach — największą w ofie-
[rze.

1871.

KRÓLESTWO IDEAŁU.

Namaszczony z woli bożéj,
Duch człowieczy, dziedzic światów,
Zrodzon jest — do majestatów.
Lecz nie pierwéj na skroń włoży
Zagrobowy djadem chluby,
Aż przebędzie twarde próby.

Król niebieski go posyła
Na wędrówkę po téj ziemi,
By się dusza przypatrzyła,
Nim światami rządzić zacznie,
Jak to trzeba rządzić niemi,
I co idzie w nich opacznie?

Ziemia szaty mu pożycza,
I duch, nakształt królewicza,
Co zaklęty szedł w powieści,
Idzie w życie jak w pustynię.

Łza strumieniem za nim płynie —
Czarnych myśli las szeleści —

Krew się toczy w morza całe —
Los na drodze stawia skałę —
Żal otwiera w niéj otchłanie —
Ach, to straszne wędrowanie!

To téż wielu zapomina,
Że jest królem duch człowieka,
Że niebieska jest dziedzina,
Gdzie słoneczny tron go czeka.
Ci, przelotny stan wędrowca,
Za swój biorą przyrodzony,
Ani nawet u grobowca,
Nie dopomną się korony.

Lecz nie wszystkich pył ogłusza.
Czasem z tłumu wstanie dusza,
Co choć w ziemski pył zaklęta,
Nie ustąpi duchom w niczém,
I wciąż tęskni, i pamięta,
Że jest niebios królewiczem.

Gdy się zerwie duch tak śmiały,
Zbrojny w puklerz trój-stalowy,
Losy łamie niby skały,
Smokom bólu ścina głowy,
Oceanom szuka brzega,
I po wszystkich ziemiach biega,
Póty biega, szuka póty,
Aż skrwawiony, cierniem skłuty,

Znajdzie cudne owe bramy,
Nabijane w gwiazd rozłamy,
Kratowane w tęcz tysiące,
Za któremi się zaczyna,
Roztęsknionych dusz kraina:
»Państwo nieumierające.«

Tu ostatnia stoi próba;
Dla zwycięzcy, koniec dzieła.

Wszystkie dusze, które gruba
Senność pyłu ogarnęła,
Wyruszone z legowiska,
Zagniewane, że im tarczą
Przed ospałém okiem błyska,
Ujadają nań i warczą;
Wyciem groźby, wrzawą trwogi,
Chcą go zwrócić z jasnéj drogi,
I nie wpuścić za tę bramę,
Gdzie niemogły wtargnąć same.

Ale oręż bohatera,
Płazem siecze. Pierzcha tłuszcza —
A królewicz próg otwiera,
I w świat nowy się zapuszcza.

Świat to dziwny: wiotki, biały,
Niby pałac z morskiéj piany,
Niby szkic Fata-Morgany,

Niby sen zaczarowany.
Tam mieszkają — ideały.

Niechaj ziemia codzień zmienia,
Rzeczywistych przewrót zdarzeń,
Nie zachwieje to istnienia,
W niepochwytném państwie marzeń.

Znużon troski śmiertelnemi,
Duch przychodzi w niém do siebie.
Nie jest jeszcze tam jak w niebie,
Lecz już nie jest jak na ziemi.

Wszystko w kraju tym radosne,
Rozśpiewane jak na wiosnę,
A poważne jak w świątyni,
A jak wieczny świt, zamglone.

Tam Poezja monarchini,
Nosi różczkę i koronę.

Różczką wszystko przezwycięża,
Bo jak chce ją przeobraża:
To z niéj czyni berło męża,
To niewieści puch wachlarza.

Więc fantazja jéj zakonem —
Liść djademem — obłok tronem.
Lecz to wszystko jest zaklętem,
Wisi gdzieś pod firmamentem,

I niech tylko muśnie ziemię,
Już po tronie i djademie!

Zawsze bliska i daleka,
Pierzcha, nawet przed wiernemi.
Dziwny przy niéj los ich czeka,
Inny niż przy córkach ziemi:
Bo Poezja dla człowieka,
Ni małżonką ni kochanką,
Lecz jest siostrą i kapłanką.
Na wpół z nieba, więc duchową —
Na wpół z ziemi, więc królową —
A kobietą, więc tyranką.

Chciwa wiedzy, dziś ciekawa
Zbadać słońce, jutro burzę,
Codzień inne pisze prawa,
Dziś w lazurze, jutro w chmurze.

I tak chwiejąc państwem całém,
To je zaćmi, to rozjaśni,
Bo to złudne państwo baśni,
Gdzie i władza — ideałem.

O szczęśliwy pan odkrycia,
Kto z manowców i z rozbicia
Ocalony, wszedł za życia,
Przez dwanaście bram z kryształu,
Do królestwa ideału!

Idźcie, ducha królewicze,
Bierzcie państwo tajemnicze!
Może do was rzekną ludzie,
Że nie warto żyć w ułudzie?

Ale wy się uśmiéchniecie —
Bo wiadomo to poecie,
I śpiéwają to łabędzie,
Że co złudą na tym świecie,
To na tamtym prawdą będzie.

1871.

POWRÓT GOŁĘBIA.

POWIEŚĆ BALLADOWA.

»Niech-że, o córko! jak chcesz, się stanie.
»Przyzwalam i błogosławię.
»Innem, ojcowskie było żądanie,
»Marzone w śnie i na jawie.

»Ojciec chciał w zięciu mieć sprzymierzeńca,
»Syna którego z mocarzy.
»Wierzył, że ślubny liść twego wieńca,
»I dwa królestwa skojarzy.

»Więc szły turnieje, grzmiały biesiady,
»Jakich ten kraj nie pamięta.
»Słały swych synów króle sąsiady,
»Z za mórz zjeżdżali xiążęta.

»I dzielni byli to królewicze,
»Już sama przyznaj, tak szczerze.
»Nie?.... Ja-m ci tylko patrzył w oblicze,
»Kogo serduszko wybierze?

»Lecz tyś w zabawach milczała dumnie,
»Lub gorzkie rzuciła słowo.
»Swat każdy stawał radosny u mnie,
»Odjeżdżał gniewny, z odmową.

»Jam nad tą twoją troską wytrwałą,
»Myślał na jawie i we śnie.
»Całe królestwo mi posmutniało —
»Włos mi pobielał przedwcześnie.

»A już od roku, jak ścięte kwiecie,
»W oczach mi schnie twa uroda.
»Bóg widzi, w całym szukałem świecie,
»Czy kto pomocy nie poda?

»Lekarz-astrolog, w ziemi ni w niebie,
»Nie trafił na środki żadne.
»A zcicha ostrzegł, że stracę ciebie,
»Jeśli twéj troski nie zgadnę.

»Więc ci przyrzekłem, że tylko szczerze
»Wyznaj, a spełnię życzenie.
»Wyznałaś. — Teraz, choć żal mię bierze,
»Nic z obietnicy nie zmienię.

»Gdy już tak bardzo serce cię boli,
»Gdy droższy nad życie tobie,
»Lepiéj mi w porę wyrzec się woli,
»Niż widzieć me dziecko w grobie.«

Tak do swéj córki, król białobrody,
Przemawiał na złotéj sali,
Gdy pod krużgankiem co wiódł w ogrody,
Dworzanie szepcąc czekali.

Córka ze łkaniem do nóg mu pada,
W zachwycie ściska kolana.
Z sali, gdzie weszła smutna i blada,
Wybiega rozradowana.

Damy ciekawe patrzą jéj w oczy,
Wzrok zamieniają niepewny.
Rycerskie grono za nią się tłoczy.
Nikt nie poznaje królewny.

Ta co od rcku, biała jak płótno,
Trwożna jak ptaszę, gdy łowy
Złamią mu skrzydło strzałą okrutną,
Ledwie chód wlokła grobowy,
Dziś, jak wskrzeszona! Przez lica chmurne,
Szczęście wytrysło rumieńcem.
— Tak powój chwyta grobową urnę,
Aż całą pokrasi wieńcem.

Oczy przetarli goście w ogrodach,
Kiedy — z tanecznéj piosenki
Zawodząc zwrotkę — po białych schodach,
Zbiegła poskokiem sarenki.

»Lecz tyś w zabawach milczała dumnie,
»Lub gorzkie rzuciła słowo.
»Swat każdy stawał radosny u mnie,
»Odjeżdżał gniewny, z odmową.

»Jam nad tą twoją troską wytrwałą,
»Myślał na jawie i we śnie.
»Całe królestwo mi posmutniało —
»Włos mi pobielał przedwcześnie.

»A już od roku, jak ścięte kwiecie,
»W oczach mi schnie twa uroda.
»Bóg widzi, w całym szukałem świecie,
»Czy kto pomocy nie poda?

»Lekarz-astrolog, w ziemi ni w niebie,
»Nie trafił na środki żadne.
»A zcicha ostrzegł, że stracę ciebie,
»Jeśli twéj troski nie zgadnę.

»Więc ci przyrzekłem, że tylko szczerze
»Wyznaj, a spełnię życzenie.
»Wyznałaś. — Teraz, choć żal mię bierze,
»Nic z obietnicy nie zmienię.

»Gdy już tak bardzo serce cię boli,
»Gdy droższy nad życie tobie,
»Lepiéj mi w porę wyrzec się woli,
»Niż widzieć me dziecko w grobie.«

Tak do swéj córki, król białobrody,
Przemawiał na złotéj sali,
Gdy pod krużgankiem co wiódł w ogrody,
Dworzanie szepcąc czekali.

Córka ze łkaniem do nóg mu pada,
W zachwycie ściska kolana.
Z sali, gdzie weszła smutna i blada,
Wybiega rozradowana.

Damy ciekawe patrzą jéj w oczy,
Wzrok zamieniają niepewny.
Rycerskie grono za nią się tłoczy.
Nikt nie poznaje królewny.

Ta co od rcku, biała jak płótno,
Trwożna jak ptaszę, gdy łowy
Złamią mu skrzydło strzałą okrutną,
Ledwie chód wlokła grobowy,
Dziś, jak wskrzeszona! Przez lica chmurne,
Szczęście wytrysło rumieńcem.
— Tak powój chwyta grobową urnę,
Aż całą pokrasi wieńcem.

Oczy przetarli goście w ogrodach,
Kiedy — z tanecznéj piosenki
Zawodząc zwrotkę — po białych schodach,
Zbiegła poskokiem sarenki.

Ta co siedziała nieraz, w warkoczach
Niedoplecionych dzień cały,
Dziś zapomniawszy praw dworskich, w oczach
Mężów i świty zdumiałéj,
Od jednéj z panien, ruchem swawoli,
Wyrywa ręczne źwierciadko,
I patrzy z boku, patrzy powoli,
Czy włos jéj składa się gładko?

Znagła, na trawnik rzuciła oczy.
Tam był krzak róży. Psotliwa,
Krzyknie, zielony płotek przeskoczy,
Kwiat najpiękniejszy obrywa,
I w warkocz wpina misterną szpilką.
Ale, czy kwiat był za duży?
Czy włos za ciężki? Dotknęła tylko,
Spłynął na ziemię pąk róży.

Po wonną zdobycz, jak w okrąg osi,
Rzuca się koło młodzieży.
Najchyżéj skoczył, pierwszy podnosi,
Astolf, najmłodszy z rycerzy.

Niedawno wyszły z paziów orszaku,
Astolf, młodzieniec ubogi,
Zwykle pęk fjołków miał na szyszaku,
Znak tajemnicy i trwogi.

W polu jéj nieznał, ale na dworze
Przemawiał zcicha i zrzadka.
Wśród pań zdumionych, (zgniewanych może?)
Snuł się jak mglista zagadka.

Miał twarz łagodną, z oczy łzawemi;
Uśmiéch, co wszystkie łzy płaci.
Gdyby serafin zeszedł ku ziemi,
W takiéj by zeszedł postaci.

Zdobycz pochwycił, królewnie wręcza,
Ze spuszczonemi oczyma.
Ona się, patrząc, mieni jak tęcza.....
Dłoń przecie zamkniętą trzyma.

Weszła na ścieżkę, siadła pod drzewem.
On nieco przystanął daléj.
W głębi, z jedwabiów i piór powiewem,
Dworzanie w półkole stali.

Wówczas dopiero, z ręki młodziana,
Kwiat wzięła do obu rączek.
Niby chce mówić..... Czeka zmieszana.....
Aż zwolna, wtykając pączek
Między błękitne włosów opaski,
Rzecze pół trwożnie, pół dumnie:

»Dziś, jam szczęśliwa! O wszelkie łaski,
»Można poprosić dziś u mnie.«

On podniósł głowę. Na twarz, purpura
Wybiegła, podobna łunie.
I znów posmutniał, jako gdy chmura,
Krajobraz jasny zasunie.

»Do żadnéj łaski« rzekł,« nie mam prawa,
»To też nie proszę o żadną.«
Jak wryty stanął. Tak żeglarz stawa,
Gdy w burzy, skarb rzuci na dno.

Pyszna w swéj zgrozie niby w djademie,
Królewna słucha, co daléj?
Patrzy nań długo. On patrzy w ziemię.
I wzrokiem się nie spotkali.

Ach, gdyby nieraz jedno spojrzenie!
Lecz po co skarżyć się marnie?
Już myśl zmieniła niepostrzeżenie,
I zagadnęła figlarnie:

»Niech ja cóś powiem, odmowa zmięknie.
»Jeśli dostojeństw nie chcecie.....

— »O nie! Tych niechcę.«

— »To bardzo pięknie,
»Lecz tyle-ż łask jest na świecie!
»Nadobnych panien nie brak na dworze.
»Moje wstawienie cóś znaczy.

»Rycerz wybierze..... Już wybrał może?
»Proszę o szczerość..... Inaczéj.....«

Tu się zmieszała, płonie, twarz chyli.
Astolf ją, rozbolałemi
Objął oczyma. Czemuż w téj chwili
Właśnie patrzyła ku ziemi?

»Muszę się, pani! Udać w pokorę,
»I wyznać że..... w koło tronu,
»I nie wybrałem, i nie wybiorę,
»I serca nie dam — do zgonu.«

Królewna wstała. Jak noc się chmurzy.
Kwiat odszarpnąwszy od głowy,
O ziemię ciska. Biédny kwiat róży,
Ofiara wojny sercowéj!

Odchodzi. Ręką przytłumia tętno,
Co pierś wzruszeniem roztrąca,
Z czoła odgarnia burzę namiętną,
I mówi uśmiechająca:

»Teraz, ja łaski żądam wzajemnie.«

— »Pani! Rozkazuj, cóż mogę?.....«

— »Otóż rycerzu, z listem odemnie,
»Dziś jeszcze udasz się w drogę.

»W góry, gdzie mieszka wróżka sędziwa,
»Co matką chrzestną mi była.
»Straszną się do niéj drogę przebywa.
»Kto aż tam listy posyła,
»Musi je w ręce powierzyć pewne.«

Tu z lekkiém skinieniem głowy,
Odeszła, szybko jak na królewnę,
Do swojéj wieży zamkowéj.

Dwór się w ogrodach rozpierzcha wszystek.
On, wartą obchodzi progi.
Wraca królewna. Oddaje listek,
Tłumaczy kierunek drogi.

Skłonił się nizko. Już, znikł jéj z oczu.....
Już, znowu jak płótno biała,
Wbiega na wieżę, rwie włos w warkoczu,
Wybuchła w płacz — i omdlała.

A rycerz idzie. Niebiesko marzy,
O róży w królewskim sadzie.
Listek przykłada do ust, do twarzy,
I znowu za pancerz kładzie.

Coraz barczyściej piętrzą się góry,
Głębiéj sinieją wąwozy.
Po skałach wiszą świérki i chmury,
Ze szczelin patrzy duch grozy.

Pod noc dopiero spostrzegł jaskinię,
    Ubraną w listne obwiązki.
Poniżéj, otchłań. Potok w niéj płynie,
    A zamiast mostu, pień wązki.

Czerwony ogień w jaskini błyska.
    Tam się to kryć musi wróżka.
Przebiegł po kładce. Obok ogniska,
    Siedzi prześliczna staruszka.

Włos od białego jedwabiu gładszy.
    Uśmiéch, młodzieńczych dni sięga.
Lecz wzrok, wiekową głębiną patrzy,
    A lice, mądre jąk xięga.

Srebrny saganek nad ogniem trzyma,
    I warzy w nim aromaty.
Na szelest, gościa wita oczyma,
    Jakby go znała przed laty.

— »A to mi rycerz! Ni ptak ni ryba,
    »A przebył ten kraj urwisty.
»Cóż mi przynosisz? Mów-że. Już chyba,
    »Od mojéj chrześniaczki listy?«

On oddał papier. Siadł na uboczu,
    A boli go zawiść skryta,
Czemu jéj pismo dla innych oczu?
    — Ta czyta, lecz cicho czyta:

»Mateńko! Prośby słuchaj łaskawie:
»Rycerz co list mój ci poda,
»Zowie się Astolf. — Anioł to prawie.....
»Waleczny — dobry — ach szkoda.....
Jedyna wada gasi zalety:
»Ten człowiek z nadludzką duszą,
»Taki nieczuły na głos kobiety,
»Że chyba czary go wzruszą.
— »Jest ktoś na dworze mego rodzica,
»Co ufność położył we mnie.
»Kocha Astolfa pewna dziewica,
»Nie jest kochana wzajemnie.
»Ty możesz sprawić szczęście téj pary.
»Ukarz zimnego szydercę,
»Wywrzyj na niego największe czary,
»Zaklnij, i rozbudź w nim serce.
»Ja cię ukocham za to wieczyście,
»I wszystko co zechcesz zrobię.«

Był jeszcze drobny przypisek w liście:

»Dziś, męża wybrałam sobie.
»Kogo? Nie powiem aż późniéj może.
»Mój ojciec, ach któż wysłowi
»Jak dobry? Wolność dał mi w wyborze.
— »Opowiédz to Astolfowi,
»I napisz, (proszę o prawdę szczerą,)

»Jak przyjął twoje zwierzenie?
»A ja ci matko, wówczas dopiero,
»Mego przyszłego wymienię.«

Czyta staruszka. Wraca oczyma,
Rozmyśla nad każdą głoską,
Papier ogląda, przed ogniem trzyma.
Godzina tak mija z troską.

Tymczasem rycerz, marząc o róży,
Na kamień opuścił głowę.
Młodość, zaduma, i trud podróży,
Zesłały mu sny różowe.

Widzi to wróżka. Węgle z ogniska,
Sypie na trzy kadzielnice,
Krople wonności na żar wyciska,
Trzykroć okadza mu lice,
I trzy wszechmocne zaklęcia szepce.
On rwie się i jęczy we śnie,
Jak, czując larwę przy swéj kolebce,
Dzieciątko kwili boleśnie.

Dziwi się wielce wróżka stroskana,
Tym czarów niezwykłym skutkiem.
Czuwa. Aż Astolf ocknął się z rana.
Wstał inny. Już nie z tym smutkiem,
Co jakby xiężyc świeci łagodnie.
To rozpacz! Pół obłąkania!

Oczy się iskrzą jak dwie pochodnie,
Uśmiéch jak sztylet rozrania.

Otchłań wié jedna co się tam działo,
Lecz otchłań nic nie opowie.
Tylko dwa głosy szemrzą pod skałą,
Zlane w kipiącéj rozmowie.
Czasem się mocniéj ozwą pogróżki,
Lub jęk co serce rozrywa.
Słychać kojące błagania wróżki.
Próżno! Choć taka sędziwa,
Nie zna już rady na jego mękę,
Ociera łzę brzegiem rąbka.

Teraz, coś pisze. Bierze na rękę,
Dar od królewny, gołąbka.
Uczony pieszczoch sam szyjkę daje
Pod jarzmo, i już szeleści;
Leci na znane królewskie gaje,
Unosząc kartkę téj treści:

»Wielkie się, córko, nieszczęście stało.
»Wierząc w twój list i nagany,
»Jam nań wywarła moc czarów całą,
»A on był *już* zakochany.
»To jakbym w ogień lała oliwę,
»Truciznę dała strutemu.

— »Teraz, ty czary zwalcz nieszczęśliwe.
»Ty *jedna* możesz! A czemu?
»Jeśli twe serce nie jest z opoki,
»Odgadniesz co nie dopowiem.
»Lecz spiesz się..... Astolf, jeden dzień zwłoki,
»Przypłaci życiem lub zdrowiem.
— »Gdy mu doniosłam..... ach piorun z nieba,
»Wierz mi, nie byłby straszliwszy.
»Są córko rzeczy, których nie trzeba
»Wymówić, nie dokończywszy.
— »Mnie się najmilsze domysły śmieją.....
»Może cię zgadłam królewno?
»Ale go nieśmiem łudzić nadzieją,
»Dopóki niewiem na pewno.
»Więc gdy przeczytasz, nie wątp na nowo,
»Nie zwlekaj..... W chwili téj saméj,
»Pisz przez gołębia, choć jedno słowo!
»My na to imię czekamy.«

Wielką jest chyżość ptasiego lotu,
Ale i droga daleka.
Truchleje wróżka, jak on powrotu
Doczeka? I czy doczeka?

— »Dobra ty wróżko! Mnie w myślach ciemno.....
»Gdzie tu odetchnąć swobodniéj?
»Powiédz mi, czy się co stało ze mną?
»Ach, wiem już! Odszedłem od niéj.

»Przez to mi tęskno, przez to mi gniewnie.
»Sam się dziś poznać nie mogę.
»Inny ja byłem przy méj królewnie!
»Po co wysłała mię w drogę?
»Aha! Wysłała mię tu z litości,
»Abym własnemi oczyma
»Nie widział godów, i uczt, i gości,
»I *tego* co dłoń jéj trzyma.
»Ach, tylko pomyśl, trzyma tak blisko,
»Ustami dotyka może.....
»Zbrodniarz! Niech tylko wiem to nazwisko,
»A mieczem w pył go położę.«

— »Bądź-że roztropny. Czekaj cierpliwiéj.
»Rycerz, a zwalczyć nie umie
»Samego siebie? Astolf mię dziwi,
»Zapomniał o męzkiéj dumie.«

— »Ha! Cóż mi teraz duma pomoże?
»Za długo milczałem dumnie.
»Pójdę się ukryć w jakim klasztorze,
»Niech żywcem kładą mię w trumnie.«

— »Zawsze dość czasu kryć się w klasztorze.
»Jeszcześ nie stanął przy kresie.
»Gołąb' niedługo wróci, i może
»Wieść pocieszenia przyniesie?«

»Mnie nie pocieszy imię niczyje!
»Odejdę ja w kraj daleki,
»Bo gdy się dowiem, to *ją* zabiję,
»I duszę zgubię na wieki.«

— Mówiąc ucieka. Godziny całe,
Miecz siecze na każdém drzewie,
Głową uderza o każdą skałę.
Wróżka co czynić już niewié?

— »Nie stój rycerzu tam nad otchłanią,
»Nie rób z urokiem jéj próby.
»Otchłań jak miłość: długo patrz na nią,
»A wciągnie cię do zaguby.
»Pójdź lepiéj ku mnie; muszę ci dowieść,
»Że koniec dzieło uwieńcza:
»Oto ci z xięgi przeczytam powieść
»Pod nazwą: **Wierność młodzieńcza.**

— Ledwie staruszka czytać zaczyna,
On krzyknął, i wstał. Przez blaski
Czystego nieba, leci ptaszyna,
A końce modréj opaski,
Wiszą pod szyi tęczowym śniegiem.

Wyskoczył Astolf z jaskini,
Wbiega na kładkę, sądzi że biegiem

Ptakowi pędu przyczyni.
Rozpaczny zawrót siadł mu na czole,
Skroń tętni, oko się mroczy.....
»To gołąb'!« Woła. »O nie! Ja wolę
Niewiedzieć!« — I zakrył oczy.

— Gołąb' przyleciał do pani swojéj.
Ta bieży, list w ręku trzyma.
»Astolfie! W liście *twe* imię stoi!«

Gdzie Astolf? Nigdzie go niéma.
Jeszcze się kładka mocno kołysze.....
Widać, szedł tędy przed chwilką.
— »Astolfie!« — Wszystko zapadło w ciszę.
Ktoś huknął? To echo tylko.

Wróżka obiega ustronie całe,
Powraca nad brzeg otchłani.
W pół góry, widzi sterczącą skałę,
I coś lekkiego drży na niéj.
To zdarta kita wisi bezładnie,
Jest i pęk fjołków u pióra.
Ale co niżéj? Ach któż odgadnie?
Tam otchłań jak noc ponura.
Próżno i patrzéć..... W pianę rozbita
Fala, już wszystko uniosła.

Wróżka zmartwiała, — i tylko pyta
Co włoży pod skrzydło posła?
Że w żadnym razie cios nie omyli,
To jedno przeczuwa pewnie,
Ale się waha aż do téj chwili,
Czy ma napisać królewnie,
Że kochał inną, zimny był dla niéj,
I wolał w obce pójść kraje?
Czy, że ją kochał, i śpi w otchłani?

. . . .

Co straszniéj? Jak wam się zdaje?

1871.

SŁONECZNA KANTATA

NA CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ
URODZIN

MIKOŁAJA KOPERNIKA.

1473—1873.

CIENIOM

MATKI MOJÉJ

MAGDALENY Z ŻÓŁTOWSKICH ŁUSZCZEWSKIÉJ

KTÓRA PODAŁA MYŚL I ŚRODKI

DO WYKONANIA PIERWSZEGO POLSKIEGO PRZEKŁADU

DZIEŁ MIKOŁAJA KOPERNIKA.

PRZEGRYWKA.

Na święto prawdy schodźcie się narody!
Serca jak dzwony grzmią jubileuszem.
Choć przez dzień jeden, śpiewajcie chór zgody,
A ja wam koryfeuszem.

Ja? Zkąd mi prawo do tak wielkiéj chwały?
Laurowa hardość u nikłego kwiatka!
Potrójne prawo z kolei mi dały:
Ludzkość, ojczyzna i matka.

Pierwsze, z was każdy ma na równi ze mną.
Drugiém się dzielę z Polkami wszystkiemi.
Ale o trzecie walczyć wam daremno,
Ja jedna je mam na ziemi.

Matko! Ty gwiazdo, co sierocie znika,
Czemuż nie dano Ci dożyć téj chwili?
Ilu czcicieli dziś jest Kopernika,
Wszyscy-by Ciebie uczcili.

Na dziele jego Twe imię zostało,
Oba się zrosły jak pomnik z powojem.
I jeśli lecę ku słońcu tak śmiało,
To tylko pod skrzydłem Twojém.

SŁONECZNA KANTATA.

OPOWIADANIE.

Był młodzieniec. Wśród pokus szedł tak nieska-
[żenie,
Że gdzie stopę zatrzymał, rosła lilja biała.
Ludzie rzadko na niego zwracali wejrzenie,
Ale wyższa istota go umiłowała.

Mówią, że tą niebianką była Prawda sama.
Rzadki gość między ludźmi, córa lepszych świa-
Oblubieńca wybrała z rodziny Adama, [tów,
I, o cudzie! z niebieskich zeszła majestatów.

Młodzian, patrząc na gwiazdy, miał złote widzenie.
Ujrzał światło, usłyszał słowa tajemnicze:
»Spojrzyj na mnie! Ten tylko co mię nieskażenie
»Przechował w duszy własnéj, ujrzy me oblicze.«

Spojrzał. Świat mu się zmienił. Pod blaskiem Jéj
[oczu,
Zobaczył świat, nie takim jak go ludzie tworzą,

Lecz *jakim jest.* W błyszczącém stworzenia prze-
[zroczu,
Dopatrzył jak w źwierciedle odbitą myśl bożą.

Była to chwila jedna. Lecz za wieczność stanie.
Komu Prawda raz w duszy otworzy powieki,
Ten wszystko rzuci, śmierci pójdzie na spotkanie,
Byle jeszcze ją ujrzéć! To miłość na wieki.

Widzenie blednie.... Młodzian wyciąga ramiona.
»W jednéj chwili pokochać, i stracić w téj saméj?
»Lepiéj było cię nie znać! Wróć się, ubóstwiona!
»Mów przynajmniéj, czy jeszcze kiedy się spo-
[tkamy?«

— »Młodzieńcze! Raz mię ujrzéć ziemskiemi
[oczyma,
»Jest-to w ludzkiéj wielkości dojść najwyższéj
[miary.
»Chciałbyś jeszcze mię widziéć? Przejdź twą
[mękę! Niéma
»Nagrodzeń bez zasługi, zasług bez ofiary.

»A najlepsze męczeństwo, nie to co najkrwawsze,
»Lecz to co nieuznane. Dla mnie, pod *tém* słońcem,
»Wyrzeknij się wszystkiego. Jeżeli przed końcem
»Nie upadniesz, powrócę! I to już na zawsze.«

— Grzmiąc po nieskończoności, słowa ucichały
Widzenie się gwiazdami rozpłynęło w niebie.

Młodzian wstał, ale inny — jakby zmartwych-
[wstały.
Ukochał nieśmiertelną — już się zaparł siebie.

Odtąd na życie spojrzał jako na czas próby,
Przywdział szaty duchowne, i nietylko szaty:
Żył jak duch. Młodość swoją skuł twardemi
[śluby.
Świat już tego nie wabi, kto zrozumiał światy.

Tknięty ogromem cierpień co ludzi druzgoce,
Zaczął szukać w przyrodzie zdrowodawczych
[cudów;
Ze xiąg Hipokratycznych zbadywał jéj moce;
Wędrowiec, pośród obcych wyśledzał je ludów.

Kolejno wypytawszy narody i wieki,
Wrócił nad Wisłę, osiadł w miasteczku ubogiém,
Tam własnemi rękoma przyprawiając leki,
Rozmawiał z prostaczkami, albo milczał z Bogiem.

Cisnęły mu się rzesze u okien i bramy.
Gdziekolwiek jęczą chorzy, gdzie nieszczęśni pła-
[czą,
Tam schodził i rozdawał podwójne balsamy:
Lekarz, walczył ze śmiercią, — a kapłan, z roz-
[paczą.

Zachwycony swojego Widzenia obliczem,
Niemiał oczu dla Ewy, mijał wszystkie kwiaty.

Sam nawet ząb potwarzy, niewstrzymany niczém,
Nie odważył się szarpnąć kraju jego szaty.

Ilekroć głos narodu zawołał nań: »Synu!«
Gwiazdą obywatelską przyświecał do zgody.
Obecny, gdy żądano rady albo czynu,
Znikał, gdy rozdawano dostojne nagrody.

Ach, bo drżał, że utraci od Niéj nagrodzenie!
Wolał do Jéj powrotu być bezpłatnym sługą.
Tak przez Polskę do Nieba szedł niepostrzeżenie,
Miłością téj ojczyzny wysługując drugą.

CHÓR RODAKÓW.

Niegdyś, za wozem tryumfatora,
Stąpała jego rodzina.
Przyszła na światło tryumfu pora!
Lud polski pochód zaczyna.

Lud to na ziemi w siłę ubogi,
Ale w niebiesiech bogaty.
Z drogi, narody zawistne! Z drogi!
Niesiem łzawnice i kwiaty.

Nasza to ziemia dała mu życie,
Pogrzebion w ziemi téj samćj.
Puśćcie nas pierwszych! Wy go wielbicie,
A my w nim brata kochamy.

OPOWIADANIE.

Tak spędzał dnie. Co wieczór, nad szumną otchła-
[nią,
Otwierał wszystkie ganki schludnéj swéj komnaty,
Z trzech stron oblanéj morzem, — i czekając na Nią,
Jak w ową noc pamiętną, wpatrywał się w światy.

Pytał o nie Chaldeów i Ptolomeuszów.
Ich odpowiedź, zwikłana była i nieśmiała.
I dziwił się, że praca największych genjuszów,
Tak nieudolne dzieło Bogu przyznawała?

Jednak pamiętał, (czego niemogli znać oni!)
Że gdy przed nim Widzenie przepływało złote,
W całéj budowie świata, jasno jak na dłoni,
Dojrzał najwyższy objaw boskości: prostotę.

Postanowił ów obraz, co mu tkwił w pamięci,
Liczbami wypróbować, — i cud wyszedł z próby.
Na wzór kół, gdy dłoń biegła sprężynę nakręci,
Jemu w zegar Kosmosu wchodziły rachuby.

Pod miarą i pod wagą prawa światom kréśli,
Te strąca, te wywyższa, tamtym bieg odmienia.
Aż Bóg powtórzył: »Stań się!« I z człowieczéj myśli,
Świat cały takim wyszedł, jakim w dzień stwo-
[rzenia.

Odetchnął mędrzec. W xiędze zaklął swe odkrycia,
Lecz xięgę ukrył. Chwały lękał się jak zbrodni.
»Wszak« mówił »Ona wróci, jeżeli za życia
»Wyrzeknę się wszystkiego, nawet chwały od
[Niéj?«

I co noc czekał, — czekał na drugie Widzenie.
Lecz tylko gwiazdy lśniły, i Baltycki nawał
Bił o wieżę. A lata szły niepostrzeżenie.
Młodzieniec stał się mężem, mąż siwym się stawał.

Jednéj nocy posmutniał.... Może aż za trumną,
Ma się dla niego spełnić obietnica luba?
Spojrzał na swoją przeszłość, i z radością dumną
Zawołał: »Mogę umrzéć! Wytrzymana próba.

»Kto raz w życiu, (szczęśliwy! Z wszystkich naj-
[szczęśliwszy!)
»Miał Objawienie Prawdy, — do śmierci ją goni,
»Ale Jéj nie posiądzie, aż śmierć zwyciężywszy.
»Ona raz przyszła do mnie, teraz mnie iść do Niéj.«

A gdy uczuł gasnącą gwiazdę swego życia,
Pomniał na skarb, co po nim ludzkości zostanie,
Mdlejącą ręką xięgę wydobył z ukrycia,
Oddał ją między ludzi, — i wstąpił w konanie.

Raz jeszcze się obejrzał z grobowego progu:
Ujrzał blask swojéj xięgi nakształt wschodu
[słońca.

Potém oblicze duszy obrócił ku Bogu,
I zapatrzył się w Prawdę widzeniem bez końca.

CHÓR NARODÓW.

Klęknijmy wszyscy do koła grobu.
Chorągwie, bijcie pokłony!
Grobowcem jego krąg cały globu,
Przez niego w rozpęd puszczony.

Rozwarł nam oczy — z xiąg rozwiał pyły —
Aż przesąd uciekł pobladły.
Mistrze co przed nim niebem rządziły,
Jak bogi fałszywe padły.

Mistrze co po nim dobiegły celu,
To pchnięciem przez niego danêm.
W świątyni wiedzy kapłanów wielu,
Ale on, Arcykapłanem.

OPOWIADANIE.

Umarł, — i wiek po wieku grzmi jubileuszem.
Sto rzek dwojących gwiazdy, Wiśle go zazdrości.
Umarł? Nie! Dwakroć żyje. Kto Cnotę z Genju-
[szem,
Ześlubił w sobie, zdobył dwie nieśmiertelności.

Prawda odnosi tryumf! Jako błyskawica
Obiega całe niebo, noc fałszu pochłania.
Nie braknie jéj niczego co serca pochwyca,
Nawet użyźniających burz prześladowania.

Aż ludy się zdobyły na Święto światłości.
Ach, gdy światłu niesiecie chorągwie i kwiaty,
Niech-że i w sercu waszém na dłużéj zagości!
Idźcie po ziemi zgodnie, jak po niebie światy.

CHÓR ŚWIATÓW.

Baczność! Na krwawéj planetce małéj,
Dziś gniewnych nie słychać głosów.
Bezbronne ludy skroń poschylały,
Przed Prawodawcą niebiosów.

Ziemia pod stopą, słońce nad czołem,
Spojrzenie jak wieczność ciche.
Takim Kopernik. On Archaniołem,
Co ziemską zwyciężył pychę.

Któżby uwierzył? To nikłe plemię,
Tajemnic boskich docieka!
Ile Kopernik poniżył ziemię,
Tyle wywyższył człowieka.

1873.

TRZY RÓŻE.

W gęstwinie straciwszy dróżkę,
Dziewczę wybiegło na wzgórze.
Tam cudną spotkało wróżkę,
Co w ręku niosła trzy róże.

Jedna z tych róż była biała,
Białością która tak myli,
Że lilją się wydawała.
Biała jak czoło Sybilli.

Druga, prześlicznie różowa,
Gdy płaszcz stulistny roztoczy,
Przygarnia serca i oczy.
Prawdziwa kwiatów królowa.

A trzecia, żółto-gorąca,
Kielich, gdzie wre złoty trunek,
Burzy krew i myśl zamąca,
Jak Bachantki pocałunek.

Dziewczę patrzyło i stało.
Drży i za serce się trzyma.
Wróżka objęła ją całą,
Powłóczystemi oczyma.

»Czemu« zapyta »o dziecię,
»Patrzysz z zazdrością ponurą?
»Dałabyś wszystko na świecie,
»Za jedną z tych róż, — lecz którą?

»Trzy losy w różach przynoszę:
»Żółta, to kielich przeklęty;
»Na dnie jéj, zatrute męty;
»Lecz daje takie rozkosze,
»Że niejedna je zamienia
»I za wieczność potępienia.

»Jeśli wybierzesz różową,
»Na dolinach rozkwiecona,
»Pójdziesz, z koroną nad głową,
»Ale z cierniami u łona.
»Będziesz w pełni córką ziemi,
»Panią ziemi, z jéj wszystkiemi
»Cierpieniami i szczęściami.
» — Tknięcie téj róży nie plami
»Jak żółtéj, lecz nieraz boli.
»Będziesz królową w niewoli.

»Jeżeli wybierzesz białą,
»Zrzeknij się ziemskich uroków.

»Droga twoja pójdzie skałą,
»Wśród przepaści i obłoków.
»Wyżéj nad walki żywiołów,
»Będziesz kwitła dla aniołów.
»Lecz niechaj cię zbyt nie trwoży,
»Ten chłód samotności bożéj.
»Czasem orzeł zaszeleści,
»Promień ci przyniesie wieści.
»Patrz: między listki białemi,
»Tam, na samém dnie się chowa,
»Jedna cęteczka różowa,
»Ostatnie wspomnienie ziemi.«

Tu wróżka w ściągniętéj dłoni,
Podaje dziewczęciu kwiaty.
Dziewczę się trwoży i płoni.
To nie trzy róże, — trzy światy!

Wybierać! Potężne słowo!
Niewiem co dziewczę wybrało?
Już ja-bym wybrała białą,
Ale tę z cętką różową.

1874.

NIEŚMIERTELNIK.

Niéma barw ni aromatów,
Odosabnia się od gminu,
Arcykapłan w państwie kwiatów,
Nieśmiertelnik, brat wawrzynu.

Umaczany w glorji złotéj,
Z ascetyczną, bladą cerą,
On jest świętym kwiatem cnoty,
Co rozkwitnie *tam* dopiero.

Póki wiosna tęcze kładzie,
Na zielonym swym warkoczu,
Nikt, w jéj rajskim chodząc sadzie,
Nie zatrzyma na nim oczu.

Ale zima ścięła kwiaty,
I marzenia omyliły,

I sam wawrzyn usechł z laty,
A on stoi u mogiły.

Stój, samotny i daleki,
By się ludzie domyślili,
Że co jaśnieć ma na wieki,
To nie może lśnić dla chwili.

1876.

DWA POKOLENIA.

PIEŚŃ STARCA.

Coraz rzadziéj na mnie woła,
Głos mi znany albo miły.
Coraz gęściéj do okoła,
Rozrastają się mogiły.

Trudno w pośród nowych ludzi,
Nowych szukać mi przyjaźni.
Starodawna pieśń ich nudzi —
A mnie, nowa pieśń ich, drażni.

Oni dla mnie dziwni tacy!
Świat choć gwarny, jakiś niemy.
Czy w zabawie, czy przy pracy,
Tylko wpół się rozumiemy.

A jednakże i z nowemi,
Nie zerwałem ja przymierza.
Ach, na imię wspólnéj ziemi,
Serce równo nam uderza!

I choć w dawnych łat powieści,
Wspomnień mych nie rozumieją,
Kiedy dotknę strun boleści,
Rozumiemy się nadzieją.

1876.

PIEŚŃ WIECZORNA.

Kiedy starsi mi na życie,
Dali rady i przestrogi,
W świat puściłam się o świcie,
Zamyślona, lecz bez trwogi.

Czułam zdala, że mię czeka,
Więcéj burz niżeli słońca,
Ale droga tak daleka,
Wydawała się bez końca.

Byle — rzekłam — mieć wytrwanie,
A w niezmiernéj téj podróży,
Lat i sił na wszystko stanie,
Pracą wszystko się wysłuży.

Ci co wiedli kroki moje,
Nie zostaną zawiedzeni.
Zimę życia ich, ustroję
W bujny owoc méj jesieni.

A co maków, co bławatów,
Przy gościńcu narwę sobie!
Cały snopek ziarn i kwiatów,
Pozostawię na mym grobie.

* * *

Jak dziś widzę, czas się liczy,
Na godziny, nie na wieki.
Ledwiem weszła w dzień zwodniczy,
Już mój wieczór niedaleki.

Nazbierałam setki wiązek;
Lecz się zbliska pokazało,
Więcéj zielska niż gałązek —
Dużo ciernia — kwiecia mało.

Nie utrzymać ich już w ręku!
Więc wyrzucam je po drodze,
I z wielkiego niegdyś pęku,
Do tych kilku kwiatków schodzę.

Czasem, kłos tam zamigoce,
Jagodowa kiść wyrośnie.
Miłe oczom te owoce,
Lecz spożywam je żałośnie.

Bo nie dzielę już ich z temi,
Z kim dzieliłam dnie majowe.

Już pół serca mego w ziemi,
I o drugą drżę połowę.

I to jednak co zostało,
Złoci zachód mego słońca.
I niech wiązka będzie małą,
Byle donieść ją do końca.

1877.

XIĘŻNA SZLĄZKA I KRÓLOWA POLSKA.

WIERSZ NAPISANY DO XIĄŻKI ZBIOROWÉJ
POD NAZWĄ »ZIARNO«
WYDANÉJ W WARSZAWIE W 1880-M ROKU
NA DOCHÓD SZLĄZAKÓW NAWIEDZONYCH GŁODEM.

Święta Jadwiga, kobiałką miga,
Ukrywa ją pod purpurę.
Do Matki Boskiéj, do Częstochowskiéj,
Wędruje na Jasną górę.

W obec ołtarza, twarz jéj wyraża,
Gorące prośby i smutki.
— »Królowo nieba! Co miałam chleba,
»Rozdałam, i kosz puściutki.

»Ach, co ja zrobię? Nadzieja w Tobie!
»Gdy przyszła godzina czarna,
»Każ Twéj czeladzi, niechaj zaradzi,
»Niech mi dosypie tu ziarna.«

Lecz Monarchini, która w świątyni,
Świeci perlistą sukienką,

Patrzy surowo, potrząsa głową,
Odmowny znak daje ręką.

— »Moja kochana, nie przyszłaś z rana,
»Niewczesna z ciebie kwestarka.
»Ilekroć u mnie, pusto jest w gumnie,
»Ty nigdy nie dasz i ziarka.

»Gdy we frasunku, szukam ratunku,
»To cię nie widzę na oczy.
»A gdy u ciebie, zbraknie na chlebie,
»Twój ludek do mnie się tłoczy?

»Pójdź za jałmużną. Lecz pójdziesz próżno,
»Dostatek i u mnie rzadki.
»Bardzo się boję, że dzieci moje,
»Wyprą się twojéj czeladki.

Xiężna Jadwiga, mocno się wzdryga,
Na słowo takiéj pogróżki.
Łzy ciche łyka, — i Jezusika,
Pokornie całuje w nóżki.

— »Ach, w tém Dzieciątku, w tém Królewiątku,
»Niech będzie za mną przyczyna!
»Wszak Matko wiecie, że i ja przecie,
»Dla krzyża oddałam syna?

»Wszak ten kochany, gromiąc pogany,
»Życie poświęcił, za kraje,

»Nietylko moje, ale i Twoje?
»Taki dług, wiecznym zostaje.«

— »Słuszne te słowa.« Rzecze Królowa.
»Tak! Teraz ja cię obronię.
»W imię Lignicy, wstańcie dłużnicy!
»Otwórzcie serca i dłonie.«

I pod królewski swój płaszcz niebieski,
Sama, cudowna kwestarka,
Wziąwszy kosz próżny, zgarnia jałmużny.
Drobne, lecz zbierze się miarka.
Bo miłość z nieba, pięcioro chleba,
W tysiące rozmnożyć zdoła.

. . . .

Święta Jadwiga, pełny kosz dźwiga
Na Szlązko wraca wesoła.

1880.

ORSZAK POGRZEBOWY.

NA CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI JANA DŁUGOSZA.

Dawno to było, przed czterystu laty.
Dzwony zabrzmiały przy pamiętnéj trumnie;
Umarł Jan Długosz. — Za marami, tłumnie,
Szedł orszak, w żywe świadectwa bogaty.

* *
*

Szło duchowieństwo cnotodajne, w którém
On jaśniał, czysty a mocny jak djament.
Szła Akademja, któréj, trzéźwém piórem,
Przekazał wieków testament.

Szli królewicze z orlemi podloty,
Gniazdo wyborne, gdzie mistrz doskonały,
Dla przyszléj kraju radości i chwały,
Wypielęgnował wiek złoty.

Szli dostojnicy, z któremi, bez skazy,
Pracował w twardym, społecznym zakonie.

I szli ubodzy, którym tyle razy
        Kładł skarby w dusze i dłonie.

* * *

A w samym końcu, już po-za wszystkiemi,
Szła jeszcze jakaś nieznana niewiasta.
Nie była ona ni z wioski ni z miasta,
        Nie była z nieba ni z ziemi.

Mdłe ją, bezbarwne owiewały szaty;
Na twarzy miała tajemną zasłonę,
A w kraju płaszcza niosła liść i kwiaty,
        Lecz jeszcze nierozwinione.

Gdy gwar współczesny mącił się przy trumnie,
Gdy żółta zawiść syknęła z uboczy,
Lub obojętność odwróciła oczy,
Ona się tylko uśmiechała dumnie,
Na ludzkich sądów zmienność i ułomność.
Sama milczała. Szła ciągle najdaléj.
Nikt jéj tam nieznał. Niektórzy szeptali,
        Że jéj na imię: Potomność.

* * *

Dawno to było, przed czterystu laty,
Jak za tą trumną wyszła nieznajoma.
Przez cztery wieki splatała swe kwiaty,
Aż dziś dopiero, naszemi rękoma,

Przystraja cichy grób dziejopisarza.
— Późno uwieńcza potomność daleka,
Ale im dłużéj swe sądy rozważa,
Tém nieomylniéj orzeka.

1880.

PIEŚŃ CZŁOWIEKA STRAPIONEGO.

Gdy się martwię, gdy się trwożę,
Bo mi ciężko na téj ziemi,
Nieraz myślę, o mój Boże!
Czy to tak jest ze wszystkiemi?

Znałem ludzi dosyć dużo,
A każdemu się zdawało,
Że to innym losy służą,
Tylko jemu Bóg dał mało.

Jeden dostał mało chleba,
Drugi niewié co to zdrowie,
Trzeci niéma wiary z nieba,
Czwarty płacze, a nie powie.

Kiedy każdy, swéj niedoli
Przypatruje się i dziwi,
Kiedy coś każdego boli,
No, więc wszyscy nieszczęśliwi?

Świat, jak mówią ludzie starzy,
Szedł od wieków tym porządkiem.
Zkądże mnie się szczęście marzy?
Za cóż ja mam być wyjątkiem?

Krzyż na ramię brać, i daléj!
Grzechem zazdrość lub sarkanie,
Kiedy wszyscy krzyż dostali,
I Ty sam go niosłeś Panie!

1860.

CUDOWNA STAJENKA.

DOBRYM LUDZIOM NA KOLĘDĘ.

Gdybyś ty częściéj, kochany człowiecze,
Zaglądał w czyste sumienia okienko,
Tobyś dopatrzył, (co na to świat rzecze?)
Że i ty jesteś cudowną Stajenką.

Bóg chce koniecznie narodzić się w tobie,
Do twéj małości przykrawa się wzrostem,
I oto został Dzieciąteczkiem prostém,
W twojéj się duszy położył jak w żłobie.

Twardy to żłobek, z kamienia. Aż smutno!
Czémże go wysłać? Duszyczkę ubogą,
Nie stać na jedwab', ach! ani na płótno.
Chyba jéj chęci policzyć się mogą.

Te dobre chęci, to źdźiebla znikome,
Lecz i ze źdźiebeł przygotuj usłanie,
A Bóg się wdzięcznie uśmiéchnie i za nie,
Chlebem żywota zapłaci za słomę.

A potém uważ i miéj to na oku,
By uwiązane u drabin bydlątka,
Niebacznym zębem nietknęły Dzieciątka,
I duchownego nie zjadły obroku.

Bo jest bydełko i w twojéj stajence;
O! Jest go więcéj niż tam w Betleemskiéj.
Są namiętności i żądze zwierzęce,
Które zdradzają pierwiastek twój ziemski.

Wprawdzie i zwierzę to boskie stworzenie,
Sprawiedliwości domaga się naszéj.
I żądza, w jarzmie trzymana uczenie,
Ma swoje prawa do życia i paszy.

Niechże więc jedzą osiołki i wołki,
Niechże u żłobu nakarmia się ciało,
Lecz tylko tyle, aby z téj podściołki,
Cóś i dla Boga przecie pozostało.

Bo jeśli żłobek wypróżnisz do denka,
Zsinieje nagle Dziecina różowa.
W kamiennéj duszy Bóg się nie odchowa,
I pustką stanie cudowna stajenka.

24 grudnia 1883.

POD NIEBIESKĄ CHORĄGWIĄ.

Już wieczór. Mrzy w powietrzu lodowata rosa.
Na łąkach się i w sercach powarzyły kwiecia.
Słońce naszego stulecia,
Nie jak czoło koronne, lecz jak rudowłosa,
Śmiertelnie blada,
Głowa ściętego, gdy do kosza spada,
Mdłe, bez promieni,
Zatacza się na chmury katowskiéj czerwieni.
Panie! Straszném obliczem grożą Twe niebiosa!

. . . .

Duszo zwiń pióra. Gdy nieba cię trwożą,
Zestąp na ziemię. Wszak i ziemia bożą?
Tu cię już nie dościgną postrachy krwawemi,
Widma obłoczne.

Spojrzę ku ziemi.
Oczami przy niéj odpocznę.
Niechaj huragan po niebiosach pędzi,
Chwycę się, jak tonący, jéj mocnych krawędzi.

Spojrzałam — i struchlałam. Co się z ziemią stało?
Już i na ziemi niéma jednéj piędzi,
Gdzie możnaby stąpać śmiało.
To nie sen. Przywidzenie oczu mych nie mami,
Grunt się usuwa pod nami!

Tu wydęte łono wznosi,
Tam zaklęsły, drży i pęka,
Jakby go międła niewidzialna ręka.
Panie! Czyż Twoja ziemia obsuwa się z osi?

. . . .

Na skale pieśni stojąca,
Wpatruję się z wysoka w ten ocean suchy,
Co gra z łupiną ziemską i dzieje zamąca.
Patrzę, a sercem słucham.

Huk daleki, głuchy,
Na niezmiernych padołach ziemskiego wygnania,
Falami się rozbałwania.
Czy wojsko larw ułudnych i tu mię dogania?
O! Teraz to już nie duchy.
Rozeznaję żywe ruchy,
Ludzkiego stąpania.

Idą. Jeszcze nie przyszli, już po brzegach drogi,
Kometowemi płachty ciągną się pożogi,
Z bezimiennych wulkanów pryskają wybuchy,

Miasta idą w puchy,
Na gwałt jęczą dzwony.

A stąpanie się zbliża, straszliwe, tętniące,
Jak Apokaliptycznéj rozpęd zawieruchy.
Już idą. Już się roją. Pędzi tłum szalony.
To nie krocie ni tysiące,
Ale miljony.

. . . .

Patrząc na świat z ukosa źrenicą zawisną,
W jednéj garści, chciwie cisną
Kałem obryzgane złoto,
W drugiéj, pożądliwie wznoszą
Kielich, nalany burzącą rozkoszą.

Idą skacząc, i wyjąc, i bluźniąc. I oto,
Gdzie przeszli, gruzy leżą i porasta puszcza.

Lecz na znak dany z góry przez milczące wodze,
O dziwo! Pijana tłuszcza,
Kładzie palec na usta, groźne oczy spuszcza,
I wydaje się falą zatrzymaną w drodze,
Od gruzów nieruchomszą, od pustyni cichszą.

Tylko nad ich głowami sztandary się wichrzą.
Każdy sztandar o tle krwawém,
O haśle złowrogiem,
Szumi szyderczym podmuchem:

»Precz z własnością. — Precz z prawem. —
»Precz z rodziną. — Precz z duchem. —
»Precz z ojczyzną. — Precz z Bogiem.« —

. . . .
. . . .
. . . .

Kto niesforne pierwiastki przeczącéj potęgi,
Wziął w takie twarde zaprzęgi,
Że splecione, zawsze razem
Bronią się myślą, słowem, złotem, i żelazem?
Serce noszą zamknięte na potrójnéj kłódce,
I pod miecz oddadzą szyję,
A nie wyjawią, co w tém sercu bije?

O! Mają oni strasznego przywódcę.
Nie idzie on po ziemi, iecz nad ziemią nieco,
W błyskawicowym wozie, stu-smokowym cugiem,
Jedzie, i nad ludzkością wywija kańczugiem.

W licach jego przepysznych, dziwne błyski świecą.
Ach, wszak to najpiękniejszy niegdyś był z anio-
[łów?
Gwiazdy się w nim kochały, słońca przy nim bla-
[dły.
Dzisiaj, wódz przepotężny niszczących żywiołów,
Anioł upadły.

Z jego dawnéj korony klejnoty wypadły,
Ale jeszcze została oprawa przepaski,
Ach, i temi to odblaski,
Tém wspomnieniem o niebie, tym żalem po niebie,
On nieszczęsne dusze ludzi,
Oczarowywa i ludzi,
I zawrotnie olśnione, przyciąga do siebie.

Przyrzeka im już tutaj niebieskie rozkosze,
Miłość z wolnością, mądrość z bogactwem i wła-
Przynęty sypnie potrosze, [dzą.
A gdy mu się zaprzedadzą,
Kiedy zmarnują wiek długi,
Na krwawe jego wysługi,
Roześmieje się szyderca,
Da im, hańby znak na czole,
Taki niesmak na dnie serca,
Który nicestwu zazdrości,
I najstraszliwszą niewolę,
W kajdanach usypłanych z ogniw namiętności.

. . . .

Nigdy go właśni jego nie widzą żołdacy.
Mroczy go chmura, jak zwątpienie długa,
Czarna, jak rozpacz bezowocnéj pracy.
Ludzie czują go tylko po iskrach kańczuga.

Nieraz młodsi czartowie pytają go: »Panie!
»Czemu cię wiecznie kryje ta mgła tajemnicza?

»Nie chcesz-że nędznym ludziom ukazać oblicza?
»Niech czołem ci uderzą. Jawnym rządź rozkazem,
»Albo źle się stanie.
»Ach, ty chyba niewiesz, panie!
»Wszak oni przeczą i ciebie?
»Przeczą ślepi, choć sami są twoim obrazem!

— »Dzieci! Miałki sąd was myli.
»Gdyby we mnie uwierzyli,
»Uwierzyliby zarazem
»I w tamtego..... tam..... na niebie.
»Niech do czasu igrają dwusiecznėm żelazem,
»Niech myślą że świat wiodą własnemi rozumy.
»Nikt lepiéj mi nie służy jak ci co mnie przeczą.
»Ze wszystkich smyczy na sforę człowieczą,
»Najbezpieczniejsza, smycz dumy.

»Kiedy pociągam obrożę,
»Mędrek szyją pokręca i głowę zadziera,
»Sądzi, że cóś dla siebie upolować może,
»A nie wié, że on tylko jest psem Lucyfera.«

. . . .
. . . .

Iluż ich się tam ciśnie! Huzia za zdobyczą!
Wszystkie ręce szukają, wszystkie gardła krzy-
[czą:
»Gdzie szczęście? Daj-że to szczęście!«

Idą na stratowanie, na noże i pięście,
Byle choćby przez chwilkę uczepić się wozu,
Gdzie xiąże tego świata jedzie niewstrzymanie.

Czyżby już wszyscy, wszyscy mieli przejść, o Pa-
Do wrogów Twoich obozu? [nie?

. . . .
. . . .
. . . .

Nie! Płonna trwoga.
Są jeszcze serca czyste i tęskniące duchy,
Które Twego rydwanu wypatrują w niebie.
Te, nie przechodzą do wroga.

Do wroga nie przechodzą, — lecz idąż do Ciebie?
Gdy tamte pędzą szalenie,
Nabijają się w bryły, wiążą się w łańcuchy,
Te idą na rozproszenie,
Jakby ciche, wiatrami roznoszone puchy.

. . . .

Widzę je. Bladym tłumem snują się koło mnie.
Jedne, wpatrzone w niebo, założyły ręce —
Inne, przy drodze siadły bezprzytomnie,
Rzewnie płaczą i żale zawodzą dziecięce:

»O my, Parjasy dziejów! Czemuż nas, o Boże,
»Przywołałeś na padół w téj sądnéj godzinie?
»Zeszlij z nieba cud jasny! Ratuj Twą świątynię!
»Sam ratuj... My nieszczęśni, wyznajem w pokorze,
»Już jéj nasze ludzkie ramię,
»Podtrzymać nie może.
»Już ku Jozafatowéj schodzimy dolinie —
»Ziemia się łamie —
»Świat ginie!«

. . . .
. . . .
. . . .

Milczcie, o małoduszni! Bo was bez rumieńca
Słuchać niemogę.
»Kto nie biegł do zawodu, nie otrzyma wieńca.«
Wstańcie, i w drogę!
A spieszcie się, by inni za was nie skończyli
Wielkiéj gonitwy.
Baczcie, czy was lenistwo pokorą nie myli?
Wara od téj złéj pokory,
I od złéj modlitwy.

Kazano wam się rodzić wśród wojennéj pory?
Toż zaszczyt! Wódz nie tego miłuje żołnierza,
Któremu straż wygodnych namiotów powierza,
Lecz którego wysyła w najgroźniejszéj chwili,
W sam ogień bitwy.

Walecznemu, bezczynne brzydną legowiska.
On drży do boju. Z rozkoszą,
Sam się na niebezpieczne wprasza stanowiska,
Świadom, że tylko skrzydła laurowe, podnoszą
Wyżéj a wyżéj —
Że tylko pod wystrzałów ulewą czerwoną,
Piersi jego się rozpłoną,
W konstellację gwiazd i krzyży.

Kto pożąda nagrody, pożąda i trudu.
Bierzcież ziemię, a z nieba nie wołajcie cudu.
Ten cud się stanie —
Ale wam zostawione jego dokonanie.

. . . .
. . . .
. . . .

Próżno wołam, i gniewna, serce drę na gromy.
Siedzą. Przestrach ogromne oczy im otwiera.
Patrzą i patrzą wzrokiem zgrozy nieruchoméj,
W twarz Lucyfera.

Czemu kamieniejecie, dusze przerażone?
Spojrzyjcie w przeciwną stronę:
Tam wasze miejsce, o zbiegi!
W szereg! A zewrzéć szeregi!

Tam stoi drugie wojsko i drugi wódz stoi.
Przepiękny! W słonecznéj zbroi,
Połyskującéj prawdy śnieżnemi źwierciadły,
To także anioł — ale nie upadły.

Lewą ręką oparty o bezdenną stągiew,
(Gdzie woda czasu, jako w Galilejskiéj Kanie,
Przechodzi przez cudowne dziejów przeżegnanie,
Aż doskonałém winem wieczności się stanie —)
Prawą ręką rozwija niebieską chorągiew.

Napis na niéj, snopami światłości uderza.
Jasny — zwięzły — a jaki? Trzebaż śpiewać dłużéj?
Napis ów, każdy powtórzy,
Kto nie zapomniał — pacierza.

. . . .

I ten wódz się spowinął płaszczem tajemnicy,
Mgłą niepokalanéj bieli.
Nie widzą go przeciwnicy.
O! Gdyby go raz ujrzeli,
Przeszli by wszyscy pod chorągiew nieba!

A jemu jeszcze podnieść nie wolno zasłony,
Bo jeszcze walki potrzeba,
Ażeby dramat ludzkiéj zasługi, mierzony
Według nieznanych godzin nieznanego słońca
Rozegrał się aż do końca.

I swoi go nie widzą, ach nie widzą smętni!
Tylko czasem, gdy hasło do szturmu zatętni,
Po iskrze złotéj,
Co za jego spojrzeniem przelata w szeregu,
Czują obecność wielkiéj, przewodniéj istoty,
I z okrzykiem zapału przyspieszają biegu,
Jakby ich porywały kołowemi zwroty,
Piór niewidzialnych podloty.

Niekiedy nawet, oko prześwietlone w wierze,
Na srebrnym drzewcu chorągwi, dostrzeże
Cóś jakby rękę ze śniegu.
I wnet Widzący szepnie, stanąwszy na przedzie:
»Anioł nas wiedzie!«

. . . .

Przywódco bożych armji! Rajski bohaterze!
Nie raz to pierwszy, za bary
Z tobą się bierze,
Wróg stary.

Nienawiściami bratniemi
Rozjątrzony Lucyfer, zawziął się na ciebie.
Raz już przegrał z tobą w niebie,
Chce odegrać się na ziemi.

O Michale Archaniele!
Ty, co z niezłomną buławą u ręki,

W niezłomnie wojującym hetmanisz kościele!
Dzięki ci od wszech-ludów i pokoleń! Dzięki,
Że po raz wtóry stanąć zechciałeś na czele,
Już nie anielstwa, ale człowieczeństwa.
Sam widok twojéj buławy,
Daje łaknienie męczeństwa,
Sprężystość niebezpieczeństwa,
Rozpęd świętego szaleństwa,
Rękojmię błogosławieństwa
Dla dobréj sprawy,
I żądzę po-za ziemskiéj wśród aniołów sławy.

. . . .

Lecz i wódz nie wybawi, gdy wojsko truchleje.
Tryumf niebiosów zawisł od naszego męztwa.
Możemy zbliżyć godzinę zwycięztwa,
Lub ją oddalić, niestety!
Na całe opłakane setnych lat koleje.
W naszém ręku przyszłe dzieje —
W naszém sercu los planety.

O! Gdyby wszyscy ludzie, choć na jedną chwilę,
Na jedną! Przy skrzydlatym stanęli hetmanie!
Ach, próżno i marzyć.....
Panie!
Do tryumfu Twéj prawdy nie trzeba i tyle.
Choćby nikt nie powrócił z wojska przeczycieli,

Gdyby tylko ci nasi, ci wszyscy nieśmieli,
I chwiejni, i przemądrzeli,
Co z murów, na walczących wytężają oko,
Lub zdala za hufcami z taborem się wloką,
Co już do nas należą sercem i nadzieją,
Lecz do swojéj chorągwi przyznać się nie śmieją,
Gdyby ci, śmieli!

Tak! Niech bezczynni wstaną, niech przemówią
[niemi,
Niech już raz pod imienne pójdzie głosowanie,
Kto trzyma ze Strąconym, a kto z Archaniołem,
Niech wszyscy broń uchwycą, i z odkrytém czołem,
Tu czyli tam wystąpią pod sztandary swemi,
A jasném się stanie,
Że Bóg jeszcze od ludzi nie tak opuszczony,
Jak nam lucyferowi chcą wmówić dworzanie,
I że w bitwie o los ziemi,
Jeśli tamtych miljony, to i nas miljony.

. . . .

Żołnierze dni obecnych, wybrańcy bojowi,
Pysznijcie się! Musicie być mili wodzowi,
Kiedy między ogromną milicją człowieczą,
Was upatrzywszy,
Was na czarną godzinę wysyła z odsieczą,
W bój najstraszliwszy.

Dla was wieniec nad wieńce! O przyszli niebianie,
Koronowani ofiarnie,
Radujcie się, dziękujcie za prześladowanie,
Krew i męczarnie,
Których piętno u piersi gwiazdą wam zostanie!

A jeśli zniechęcenie duszące pożarnie,
Jak dym bitewny waszą pierś ogarnie,
Orły, wystrzelcie nad nizkie opary,
Skronią królewską —
Wpatrujcie się okiem wiary,
W to światełko, co przez szpary,
Świtającą miga kreską
Za grobową dęską —
I w zaciśniętéj kolumnie,
Idźcie jawnie, karnie, tłumnie,
W bój, pod chorągwią niebieską.

1884.

PSYCHE I FENIX.

PŁASKORZEŹBA.

U bram Tartaru, na rdzawéj opoce,
Siadła w podróży unużona Psyche;
Motylem skrzydłem już ledwie trzepoce;
Z ócz jéj wygląda przerażenie ciche.

W stopie, wygiętéj podlotnym rysunkiem,
Krwawi się kolec różanéj gałązki.
Z ramion, pachnących boskim pocałunkiem,
Zefir pozsuwał tęczowe obwiązki.

Na głazie lampę postawiła złotą,
Gdzie ogień pełga kitą rubinową.
Spojrzała w bramy ziejące ciemnotą,
Wzdryga się, — drobną potrząsnęła głową.

— »Iść tam, czy nie iść? Za progiem jak ciemno!
»Już mróz grobowy chłoszcze mi ramiona.
»Lampo miłości, świéć wiernie przedemną,
»Bez ciebie, zbłądzę w podziemiach Plutona.

»Lampo nieszczęsna, tą jedną przysługą,
»Nagródź mi krzywdę, a krzywda to sroga:
»Ty mi wydarłaś, kto wié na jak długo,
»Może na zawsze, kochanka i boga.

»Po co mi było w twą popaść ponętę,
»O ciekawości, o płomyczku mały?
»Przeklęty ogień! I światło przeklęte!
»Dały świadomość, a szczęście zabrały.

»Odkąd mu iskra opaliła pióra,
»Znikł. Ja go szukam i ufam niezłomnie.
»Słońce mi blade i ziemia ponura.
»Tęsknię i płaczę. I on tęskni do mnie!

»W górnym Olimpie więżą go bogowie.
»Ach, a boginie, mszczą się nad zuchwałą,
»Nad córą śmierci, któréj serce wdowie,
»Nieśmiertelnego umiłować śmiało.

»Wprzęgły mię w jarzmo, próbami zdręczyły.
»A gdy już sądzę że stoję u kresu,
»Zadają próbę ostatnią..... nad siły.
»Każą mi żywcem zstąpić do Hadesu —

»I ztamtąd przynieść skarb dziwny, jedyny
»Jakiego tajni Wenus nie dociekła.
»Leży on w ręku saméj Prozerpiny.
»Kto chce go zdobyć, musi przejść przez piekła.

»Wszystkie kolejno wytrzymałam próby,
»Lecz tu napróżno i zaczynać pracę.
»To już nie próba, to wyrok zaguby.
»Żegnaj Amorze! Na wieki cię tracę!

»Iść tam, czy nie iść? Precz dzieło pokusne!
»Jak trup się w białéj uwinę opończy,
»Snem nieprzespanym u téj bramy usnę,
»Usnę — zapomnę — i wszystko się skończy.

»Precz i z tą lampą! Do piekieł, nie mogę
»Iść bez jéj światła. Niech tylko ją zdmuchnę,
»A już na zawsze zamkniętą mam drogę.
»Dość jedno tchnienie wypuścić leciuchne.....«

. . . .

Twarz jéj zbielała jak zarys kamei,
Powieki spadły jak zawarta xięga,
W piersiach zgasł ognik ostatniéj nadziei.
Ściągnęła rękę, już lampy dosięga.

Straszno..... Świat zadrżał o losy człowiecze.
Po co mu odtąd wirować na osi,
Jeżeli Psyche nieba się wyrzecze?
Już wzięła lampę, do ust ją podnosi.....

. . . .

Tu nagły powiew uderzył jéj łono.
Pęd-że to wichru, czy ptasiego stada?
Spuściła lampę jeszcze niezgaszoną,
Roztwiera oczy, z podziwem usiada.

Nie całe stado, lecz jeden ptak wielki,
Skrzący, przepyszny, krąży nad jéj głową.
Puch ma nasiany złotemi kropelki,
Skrzydła szkarłatne, i pierś lazurową.

— »Fenix! Ptak słońca! Poznaję z opisu,
»Jakim go Amor malował przedemną.
»Co sto lat leci do Heljopolisu,
»Tam sobie trumnę buduje tajemną.

»Trumnę, i gniazdo. Zapatrzon w Aurorę,
»Siada na stosie z wonnych ziół i mirry.
»Promieniem słońca zapala się, gore,
»I odrodzony powraca w szafiry.

»Jak ty mię, ptaku, zawstydzasz twą mocą!
»Gdzie ja iść nieśmiem, tam niepowstrzymanie,
»Tam z dobréj woli lecisz sam! I po co
»Lękać się śmierci, gdy jest zmartwychwstanie?

»Może cię Amor przysyła za gońca?
»Pójdę! Ku niebu prowadzi najprościéj
»Ofiara. Tylko przez ogień do słońca!
»Tylko przez boleść do nieśmiertelności!«

. . . .

Odleciał! Psyche wstaje odrodzona.
Złoty włos furknął z igraszką wietrzyka.
Pawiemi oczy mignęły ramiona.
Porywa lampę, i w ciemnościach znika.

1885.

NA CZEŚĆ WIARY.

PIEŚŃ WOTYWNA.

W ciężkiéj godzinie życia, grom wisiał nademną.
Nieszczęście biegło ku mnie, jak Meduza blade.
Struchlałam — i stanęłam. Już mi w oczach cie-
[mno.....
Już uczuwam, że stopę nad przepaścią kładę.
Wonczas, duch niewidzialny przeszedł, i tajemną,
Pod sercem wypukaną, podszepnął mi radę:

— »Żołnierz, gdy mu sąsiedzi od kul popadali,
»Żeglarz, gdy mu się nawa rozstępuje krucha,
»Ślubują niebu dary, jeśli ich ocali.
»I ty mu dar przyrzeknij, — może cię wysłucha?«

Dobrze radzisz, — przyrzeknę.... oddam na ołta-
[rze.....
Lecz co? W jakiém-że niebo lubuje się darze?
Wojak z piersi odpina medalowy pręcik,
I swój krzyż na kościelnym przytwierdza filarze.
Marynarz u sklepienia zawiesza okręcik,

Strugany w cienkie maszty, rudelek i wiosła.
Każdy przynosi godło swojego rzemiosła.
Czém-że się ja, pieśniarka, Panu wywzajemnię?
Powiédz! Chyba po strunach méj harfy uderzę?
Ach tak! Jeśli nieszczęście odwróci odemnie,
Jeśli wiary wysłucha, złożę Mu w ofierze
Dar błahy, lecz nad kupne serdeczniejszy dary:
Pieśń na cześć Wiary.

* * *

I wysłuchał! O cudo miłości jedyne!
Skinął, i moją rozpacz w upojenie zmienia.
Pan się stawił z ratunkiem na dzień i godzinę,
Posłuszny swemu dziecku aż do przerażenia.

Odtąd, codzień radośnie padam na kolana,
Obchodzę tę godzinę jak rocznicę święta,
Uwielbiam i dziękuję, — lecz pieśń ślubowana,
Jeszcze dotąd z méj harfy nie wyszła, — zaklęta!

Wpół widna za strunami, jak więzień za kratą,
Zawodzi głuche skargi, szepce dniem i nocą:
»Puść mię! Pan się dla ciebie nie spóźnił z pomocą,
A ty, twarda dłużniczko, spóźniasz się z wypłatą?«

Ciszéj harfo! Sto razy już cię miałam w ręku,
I odeszłam, rażona od świętego lęku.
O, ty wiesz! Ja nie milczę z czarnéj niepamięci,

Ni grzesznego lenistwa, ja milczę — z pokory.
Mnie, kréślić obraz Wiary? Mnie?... Wszak Pań-
[scy Święci,
Ledwie szkic jéj rzucili? Kościelne Doktory,
Ledwie śmiały odchylić jéj płaszcz liljowzory?

Milczę, — ale ty moich nie oskarżaj chęci!
Od nich pierś mi się burzy, pali mi się głowa.
Ach, jabym chciała zebrać wszech-bogactwa ducha,
Ach, jabym chciała zrobić jakiś klejnot słowa,
Ulewać strofy krągłe jak zwoje łańcucha,
W których szmerze dźwięk złota odzywa się
[szczery.
Chciałabym w te wiązane wyrazów okucia,
Kłaść szafiry natchnienia, rubiny uczucia,
I wprawić wielkie myśli niby solitery.

Harfo! Pryśnij perłami, roztop się na złoto,
A zaniosę cię Panu, grające ex-voto.

Ha! Teraz ty zamilkłaś, wstydem oniemiała.
Nieużyteczna sługo, tyś mi wyrzucała,
Że nie płacę skarbami? Zkądże ich dostanę?

Moje twory, garncarską lepione są sztuką,
Czuć je ziemią. Me słowa, jak szrut, ołowiane.
A myśli, to paciorki, co jutro się stłuką.

Zaczekam. Z moją nędzą Panu się wyżalę.
Może kiedyś dzień siły i dla mnie nastanie,
Lecz dziś..... jeszcze niemogę. — Przyrzekłam
[zuchwale.
Za słabe moje struny, za wielkie zadanie!

Tak mówiłam. A przecie, któż harfę przekona?
Cień pieśni chodził za mną, chłostał mi ramiona.
Dni biegły niespokojne. Minął rok, pokłuty
Przez głuche, źle gojone sumienia wyrzuty.

Aż przyszedł dzień... Początek, czy koniec pokuty?

Harfa moja zabrzękła jakby potrącona.
Niewidzialne zjawienie tuż przy mnie stanęło.
Chwilka..... I głos przemówił, pół groźny, pół
[cichy:

— »Więc to tak? Chcesz, pokorna, stworzyć arcy-
[dzieło?
»Spostrzeż się: w téj pokorze jest jeszcze błysk
[pychy.

»Daj co masz. Czyste złoto czy nikczemny ołów,
»Daj co masz. Bo i kogóż chcesz olśnić? Aniołów?
»U nich wszelka pieśń ludzka, choćby i mistrzow-
[ska,
»Jak gaworzenie dziecka, tylko uśmiéch budzi.
»Czy na ludzki sąd baczysz? Niech ten cię nie
[troska.
»Wierzaj mi, jest anielstwa dużo i u ludzi.

»Pielgrzym, kiedy wstępuje w poświęcone gmachy,
»Patrzy z takiémże czuciem na świeciste blachy,
»Pstre chorągwie, któremi hetmany i króle,
»Zapisały swą wdzięczność, jak na proste kule,
»Co szczęśliwy kaleka tam oparł o ścianę,
»Lub na żółte serduszko, z wosku wydmuchane,
»Jakiém uboga matka, zdrowie jedynaka
»Spłaciła. Dla pielgrzyma ich wartość jednaka.
»Wszystkie błogo mu świadczą, że wielcy i mali,
»Prosili tu już przed nim, i łaski doznali.

»A Bogu? Wosk czy brylant, zarówno dlań pyłem.
»Lecz pomnij, że to Ojciec! On chciwy pieszczoty.
»Wiązanie od dziecięcia, niezgrabnéj roboty,
»Śmiészne dla cudzych oczu, dla ojca jest miłém.«

— Dosyć, Aniele-Stróżu! Rozumiem przestrogę.
Biorę harfę. Bóg widzi, że więcéj nie mogę.

Ty, Wiaro, stań się dla mnie Muzą poświęconą!
Wrzuć wichry w moje struny, płomienie w me łono.
Ubierz mię skrzydeł orlich czy gołębich parą.
Bez nich, jakże cię w górnym doścignę obszarze?
Tylko Wiarą natchniona, śpiewać się odważę
O tobie Wiaro!

* *
*

Ach, jam twoją! Ty jesteś patronką poety.
On, twój syn pierworodny, prawy twój obrońca,
Tém dłuższe ciska światło, niby słup komety,
Im bliżéj do twojego przygarnął się słońca.

Któryż wyprze się ciebie, i w piersi zachowa
Iskrę ognia świętego? Zawiędną mu słowa,
Zwarzy je gorzki uśmiech i rozpacz jałowa.
Pozostawisz mu dętą koronę kunstmistrzy,
Ale wieńca mu niedasz, ani téj najczystszéj
Źrenicy, która wieczność w przewidzeniu stre-
[szcza.
Ty rodziłaś proroki, ty wyświęcasz wieszcza.

Choćby ci ziemia cała stanęła za wroga,
Oni cherubinowym obronią cię mieczem.
Ty wypisana stoisz na sercu człowieczém,
Poezjo Boga!

* *
*

Najwyższa, — a dla wszystkich czytelna. Nie
[trzeba
Nosić togi ni laurów, by zrozumiéć boski
Twój alfabet. Ach owszem, ty mistrzyni z nieba,
Masz dla ubogich w duchu wyraźniejsze głoski.
Dla nich w xiędze przyrody masz tysiące zna-
[czków,
Których i szkłem nie dojrzy badacz posiwiały.

Ty na karcie maleńkiéj zmieściłaś foljały,
Wiedzo prostaczków!

* *
*

Lecz niechaj się na ciebie nie skarżą mędrcowie.
Masz ty i dla nich łaski. — Jeżeli w połowie
Swéj drogi, zaskoczeni granicą świetlaną,
Uszanują twe państwo, przy tronie twym staną,
Rzucą na jego stopnie zdobyte sztandary,
I uznają, że Rozum jest lennikiem Wiary,
Natenczas w ich źrenice włożysz orle oczy,
Świat, pierwéj dla nich ciemny, zmienisz na prze-
[zroczy,
Ich nauce, ziemskiemi upstrzonéj szkiełkami,
Dasz bezcenne klejnoty niebieskich posagów,
I zawiedziesz ich daléj niż marzyli sami,
O gwiazdo Magów!

* *
*

I będą królowali jak ich wschodnie wzory,
Wielką myślą koronni. Ale tę koronę,
— Niech pomną — kładziesz tylko na czoła schy-
Córko pokory! [lone,

* *
*

Masz ty jeszcze piękniejsze w skarbcu twym dja-
Z jasności ulewane Świętych aureole. [demy:

Gdy taki krąg na ludzkiém zarysujesz czole,
Wtedy już dla twéj chwały granic nie znajdziemy.
Wtedy zrywasz kajdany — lwy kładziesz pod
[nogi —
Uciszasz nawałnice — zdmuchujesz pożogi —
Przemawiasz językami wszystkich serc i ludów —
Leczysz nieuleczalne — rozpędzasz zarazy —
Umarłych wszechwładnemi ocucasz rozkazy —
Żywych porywasz w niebo na skrzydlach extazy—
Twórczyni cudów!

* *
*

Ach, nie każdemu lecić pomiędzy anioły!
Ledwie garstka wybrańców nosi te korony,
A do ziemi przykute zostają — miljony.
Lecz ty umiész, litosna, zejść i na padoły.
Wtedy ludzką twarz bierzesz, i już na tym świecie,
Stajesz się rozdawczynią doczesnego szczęścia.
Ty jedna prawy stępel bijesz na monecie —
Zaufaniem nitujesz obrączkę zamężcia —
Ty potwierdzasz majestat sędziowskiego zboru —
Dajesz kłódkę stalową, co pierś przyjaciela
Roztwiera lub zamyka — ty szarfą honoru,
Wiążesz rękę dłużnika z ręką wierzyciela —
Ty wodza i żołnierzy spajasz w jedną duszę —
Ty pieczętujesz wiotkie narodów sojusze.

Choć klęski najczarniejsze zerwą się szalenie,
I na gmach społeczeństwa taranem uderzą,

Niechaj biją! Dopóki pod środkową wieżą,
Słup wiary zobopólnéj trwa nienaruszenie,
Póty twierdza niezłomną — szturmy bezsilnemi.
Lecz biada jeśli runie ten filar jedyny!
Każde jego zadrgnięcie, jak trzęsienie ziemi,
Rozdziera ściany domów i państw podwaliny.

O! Gdyby ci, co w ręku dzierżą losy tłumów,
Co frymarczą twém godłem w obliczu gromady,
A w Augurowéj sali drwią ze wszelkich umów,
Chcieli cię choć raz jeden zawezwać do rady —
Gdyby w odwiecznéj orgji uczuć i rozumów,
Dziejowe oszukaństwa i rodzinne zdrady,
Twych lic nie przedrzéźniały zapustną maszkarą—
Gdyby cię o ty piękna, o ty »dobra« Wiaro,
Choćby przez jedną wiosnę po wszech-ziemi
[czczono —
Już świat stałby się rajem! Przez ciebie, najprościéj
Trafić mu do braterstwa, — boś ty jest rodzoną,
Siostrą miłości.

* *
*

Ach, daleko nam jeszcze do takiéj oazy!
Majak ziemskiego raju wiesza się w przezroczu,
Zielonemi podróżnych przywabia obrazy,
I nigdy niedościgły, pierzcha z przed ich oczu.
A tymczasem pod stopą, nasz padoł tułaczy,

Codzień suchszy od zwątpień, twardszy od roz-
[paczy,
I schnący potok dziejów same toczy głazy.

W téj pustyni żywota, w téj dusz karawanie,
Gdzie wszystko niepojętém, wszystko tajemni-
[czém,
Gdzie ziemia i niebiosa milczą niezbłaganie,
A przeznaczenie patrzy sfinxowém obliczem,
Ty jedna masz odpowiedź na każde pytanie.
Wszelka inna, przez puste odbita otchłanie,
Pytającego głosu jest echem zwodniczém.

Niech świeckie filozofy ciągną swą rozmowę,
Nigdy niezakończoną, i niech łamią głowę,
Jak postawić odwieczne jaje Kolumbowe?
Ten mówi: »Wszystko Bogiem.« Ów mówi: »Bóg
[niczém.«
Ten rzecze: »Ślepe siły.« Ów rzecze: »Przypadek.«
A każdy woła: »Prawdy, ja pierwszy nauczę!«
Idzie nowy, i jajko poprzednika tłucze.

Ty uśmiéchasz się patrząc, gry dziecinnéj świadek.
Ty na kółku wieczności, masz u pasa, klucze
Wszystkich zagadek.

* * *

Kiedy Noc dolinowe uciszy poziomy,
I nakręci sprężyny grające w eterze,
Zadumani badacze wychodzą na wieże.
Patrzą przez wieki całe w godzinnik ruchomy,
Liczbami zazębiają srebrne kołowroty,
Garście słońc jakby piasek przesypują złoty,
I truchleją od grozy, i więdną z tęsknoty.

Napróżno Myśl człowiecza, piórkami gołębia,
Chce falujące świateł przemierzyć potopy,
Nie znajdzie brzegu! — Próżno ręką Penelopy,
Sypeł jednéj mgławicy na nić porozkłębia,
Już sto innych się plącze! — Próżno teleskopy,
Kryształami nabija, — niebo się pogłębia,
Wystrzał zawsze za bliski!

— Płonna robotnica,
Czuje, że w tych ułamkach jest jakiś rachunek,
Dostrzega, że w tych wirach jest jakiś rysunek,
Cóż kiedy summy nie zna? Kształtu nie pochwyca?

Ciągle biegnie i pyta: »Czy tutaj granica?«
Nie! Już padła, ostatnie wydała już tchnienie,
A liczby za liczbami znów pędzą szalenie,
I konająca przestrzeń znów płodzi przestrzenie.

Lecz niech Wiara przeleci nad mętną pomroką,
I zapali trójkątne Opatrzności Oko,

A czego Myśl przez wieki nie objęła, ona
W błyskawicznêm widzeniu tym znakiem dokona.
Postawi go na niebie pierwszém i dziesiątém,
I setném i tysiącznêm, i nieutrudzona,
Będzie póty stawiała trójkąt za trójkątem,
Aż z łamanych tych krések, przedziwnie się złoży,
Jeden zarys wszech-rzeczy, na nim — podpis boży.

Ona więcéj potrafi: jéj wielkie ramiona
Tak daleko sięgają, że gdy je roztworzy,
A potém wzniesie ręce związane miłośnie,
Parallaxą modlitwy na wskróś poprzestrzela
Wszystkie kręgi stworzenia, i dłońmi, dorośnie
Do słońca nad słońcami, tronu Stworzyciela.

Wiaro! Im człowiek wyższy w naukę i lata,
Zawstydzony, tém niżéj pochyla kolano.
Ty jedna rozwiązujesz, nie »tutaj« związaną,
Zagadkę świata.

* *
*

I czy tylko tę jedną? Człowiek, w łonie swojém,
Sam więcéj nosi mgławic, niż ich jest na niebie.
Ledwie rzucił kolébkę, już się z niepokojem
Przed sobą rozpatruje, ogląda za siebie.
Zkąd wyszedł? Dokąd idzie? Dla czego tak wzdy-
[cha
Do szczęścia, i dobrego żąda nieskończenie,
A cierpi i upada? Dla czego? Milczenie.

— Tymczasem, każda chwila roztacza mu zcicha
Zwitek jego przyszłości. Tajemna-ż to karta!
Pytaniem zagajona, przerwana w pół słowa,
Ciekawa i okropna, baśń dziwolągowa,
Bez początku ni końca, zdaje się wydarta
Z jakiéjś ogromnéj xięgi, — lecz xięga zginęła.
Stoi tam czasem gwiazdka pełna wabnych bły-
[sków,
Odsyłacz do Przypisku, — cóż, kiedy Przypisków
Brakuje? Pewnie poszły na sam koniec dzieła.

Nad dziwną kartą, człowiek siedzi osłupiały.
Bierze rylec myślenia, pióro wyobraźni,
Chce pierwsze i ostatnie dopisać Rozdziały.
Pisze, maże, i codzień dostrzega wyraźniéj,
Że nie trafi — mdły twórca — do pierwotnéj treści.
Wstęp i koniec się kłócą ze środkiem powieści.

Dopiero, gdy mu Wiara, przez niebo rozwarte,
Xięgę nieśmiertelności poda purpurową,
Gdy, nożycami czasu wykrojoną kartę,
Wsunie napowrót w miejsce z wieczności wydarte,
Gdy Rozdziały powiąże z końcem i Przedmową —
Pierwszy znak zapytania Wstępem się wyjaśni —
Wyjdą na jaw Przypisy — ostatnie pół-słowo,
Drugą, tyle szukaną dojrzeje połową —
Człowiek, drżący od szczęścia, z niepojętéj baśni
Wyczyta hymn cudowny, i pozna — o dziwo!
Że we własném sumieniu nosił klucz odkrycia.

Ty jedna rozwiązujesz straszną, przestraszliwą,
Zagadkę życia.

* *
*

I czy tylko jednego? Ach nie! Ognik ducha,
W glinianéj lampce ciała dymiący pochmurnie,
Dopiero wtedy pełnym płomieniem wybucha,
Gdy postawisz go w ciepłéj od popiołów urnie.

Oto człowiek, obwiany płatami żałoby,
Siedzi na mchu smętarza; twarz w rękach ukryta.
Z pod drzew, tysiąc-imienne żalą mu się groby,
On tylko w jeden patrzy, jedno imię czyta.

Przyjaźń usiadła przy nim, pociesza go zcicha,
Ramieniem obejmuje — on ramię odpycha.

Miłość nad nim się chyli, chce go, całująca,
Zawrotną czarą spoić — on czarę odtrąca.

Wiosna rzuca mu kwiaty, z wymowną przestrogą:
»Wszystko więdnie!« — On gniewną rozmiażdża
[je nogą.

Pięścią niebu wygraża i skronie swe bodzie.
Toczy dzikiém spojrzeniem.

— »Co mi po przyrodzie?
»To macocha! Jéj uśmiech rozjątrza zgryzotę.

»Co po nowych uczuciach? Rozedrą mi ranę,
»Przypominając czasy szczęśliwości złote.
»Mówicie: — Bądź odważny? Czas przyniesie
[zmianę? —
»Ach oddajcie mi tylko najdroższą istotę,
»Powiédzcie że choć w innym zobaczę ją świecie,
»A pójdę mężnie w życie, na wszystko przystanę.
»Lecz wy nawet nadziei dać mi nie możecie!
»Nie! W tym dole już wszystko dla mnie pogrze-
[bane.«

Dzwon się ozwał. Nakoniec idzie upragniona!
Złoty z nieśmiertelników oświetla ją wianek.
Cały smętarz pojaśniał — i pyta: »Któż ona?«
To Wiara. Spływa lekkim pochodem niebianek,
Staje przy nieszczęśliwym. Pociech nie wymienia,
Rad nie daje, lecz grotem wyciętym, z promyka
Nieznanéj dla nas gwiazdy, na głazie pomnika,
Ryje dwa słowa, tylko te dwa: »Do widzenia!«
Napisała, i cicho za grobowcem znika.

Podniósł oczy — przeczytał. Od bladego czoła,
Ręce odrywa, składa z podziwu, i woła:
»A więc jest: Do widzenia? Więc mówi mogiła?
»Więc jeszcze się z najdroższą istotą zobaczę?
»To ona mi te słowa przez Wiarę przesyła!«

Powstał. Spojrzał ku niebu. W oczach się prze
[mienia.
Już pociech nie odpycha, zaledwie że płacze.

Z jego piersi wionęły kiry i rozpacze,
I poszedł w życie mężnie, szepcąc: »Do widzenia!«

Tu Wiaro twój najwyższy tryumf. Niech Nauka,
Uzbrojona w retorty i skalpel, sto razy,
Sztywne zwioki rozłoży na prochy i gazy,
Nie złoży ich napowrót, serca nie oszuka.
Niech przechowa je w mumji, oczu nie omami.
Niech się w głąb' dokopuje grobów pod grobami,
Niech całą kulę ziemską na wylot przewierci,
Nie znajdzie dna przepaści rozłamanéj w bycie.
Ty nam jedna tłumaczysz, straszliwszą nad życie,
Zagadkę śmierci.

* *
*

Czyż są tak ciężkie smutki, tak bezmierne straty,
Coby się nie wydały ziarenkiem znikomém,
Kiedy ty, drugą szalę przywalisz ogromem,
Nieskończonego życia i wiecznéj odpłaty?

W twojéj mocno-zamczystéj, pachnącéj szkatule,
Gdzie rżnięte słoje myśli i uczuć kryształy,
Stoją, balsamicznemi nalane kordjały,
Widzę leki na wszelkie zatrucia i bóle.

Ty cnotliwego krzepisz jak ów anioł blady,
Co kielichem przyświécał w ciemnościach Ogrójca.
Ty jedna umiesz łamać narzędzie zagłady,
Które już w zimnych rękach waży samobójca.

Ty i zbrodniarza budzisz cichemi napady,
I póty mu podsuwasz wspomnienia dziecięce,
Aż we łzach, pokrwawione obmyjesz mu ręce.

Jako niegdyś, cudownie a niepostrzeżenie,
Z włosami, przyrastało mocy Samsonowéj,
Takie ty siłodajne rozpuszczasz promienie,
Na czystych bohaterów i narodów głowy.
Potém, niechaj demony wszystkie, po kolei
Wezmą je na katusze, zagadka ich siły
Nie stracona, dopóki ciebie nie straciły,
Matko nadziei!

* *
*

Tu już bierzmy wonności, pochodnie zapalmy.
Oto przez katakumby dziejowe idziemy
Do państwa, gdzie nietylko świetlane djademy,
Lecz rozdajesz i berła: niebowładne palmy.

Od owych Męczenników ociekłych szkarłatem,
Co na rusztach i palach, pod rózgą liktorów,
I w ryczącéj Arenie, dowiedli przed światem,
Że Duch, tryumfatorem wszech-tryumfatorów —

Do cichych Missjonarzy z kagankami w rękach,
Co między ciemne ludy idą bez obrony,
I śmiercią, na wymyślnych rozcieńczaną mękach,
Wypraszają swym katom żywot odrodzony —

Od owéj, Machabejów matki srebrnowłoséj,
Co siedemkroć konała w synach zabijana,
I z ich dusz, płomieniami bijących w niebiosy,
Siedmioramienny świecznik zażegła dla Pana —

Do téj trzykroć cudownéj pasterki z Domremi,
Co w natchnieniu, słuchała niebiańskiego posła —
W bohaterstwie, dźwignęła chorągiew swéj zie-
[mi —
A w męczeństwie, gołąbką nad stos się uniosła —

Każdy wiek ci poświęca krwawą hekatombę.
Krew jęczy głosem Abla, grzmi w echu szerokiém,
Aż anioł bożéj pomsty porywa za trąbę,
Niesie głos ten do nieba, i wraca — z wyrokiem.

Za jakąż inną miłość, jakież inne dzieło,
Tyle wielkich serc walczy, i pada ofiarą,
Ile już ich walczyło, ile już zginęło,
Za ciebie Wiaro?

* * *

Słuszny haracz wdzięczności. Ach, nigdy za drogo,
Ludzie twoich dobrodziejstw okupić nie mogą,
Piastunko wszech-pokoleń! Ty w majowe rano,
Z kolébki barbarzyństwa wzięłaś je na ręce,
Mlékiem życia poiłaś ich usta dziecięce,
Kwiatem szczęścia przepięłaś ich pierś młodocianą,

Mężką siły przyłbicą złociłaś im lico,
Ludów rodzico!

* *
*

Odtąd, z pochodnią w ręku, przez roków tysiące,
Od różanego Wschodu ku łunom Zachodu,
Okrążasz glob na czele człowieczego rodu,
Jak niebiosa okrąża słońce gorejące.

Noc rzuca się w twe ślady, szarpie cię za poły;
Stu paszczami przeczenia, potwór wielogłowy,
Rwie ci skrzydła, nadgryza twój płaszcz szafirowy,
I słabe dusze ściąga na mroczne padoły.

Biada ludom ślepnącym których razisz oczy!
Odwrócą się od ciebie, i rozpierzłą zgrają,
Będą wołały: »Naprzód!« A one, wracają!
Nie pojmą że wracają, aż Noc je zaskoczy.

Na co im szukać prawdy po drogach tak wielu?
Tylko póty iść mogą w nadziejném weselu,
Tylko póty je pochód przybliża do celu,
Póki w ruchach i zwrotach zrosłe jednolicie,
Jak wojsko, archanielską porwane fanfarą,
Idą szturmem przez życie, na nieba zdobycie,
Za tobą Wiaro!

* *
*

Ach nie tak idą dzisiaj! Niepomne, że ona,
Zrodziła je do światła, chodzić wyuczyła,
Że co mają sił, wszystkie wyssały z jéj łona,
Dziś mówią: »Nie téj staréj, lecz nasza to siła.«
Odepchnęły jéj łono precz..... i zbrodniczemi
Rękoma, świętą matkę wypędzają z domu.

Miałażby Wiara uciec ze skalanéj ziemi?
Wrócić między niebiany, spłoniona od sromu?

Pierzchaj z przed moich oczu wizjo przeraźliwa!
Nie, stój! Chcę ci się przyjrzéć dla groźnéj prze-
[strogi:

Niéma Boga. Już niéma. Lecz któż to przybywa?
Zamiast jednego, setne podnoszą się bogi.
Pod nowemi szatami, a ze zgniłém ciałem,
Pod młodemi nazwami, a z licem zgrzybiałém,
Korowodem co depce, drze, gryzie i niszczy,
Larwy dawno zamarłych wracają bożyszczy.

Mars żelazną szarańczą ściął wiekowe żniwa.
Głodny Moloch wnętrzności społeczne rozrywa.
Afrodyte zagasza rodzinne ognisko.
Złoty cielec po rynkach na ołtarzu błyszczy.
Bachanalje globowe! Czartom widowisko!
»Lejcie nam krew i wino! Dajcie róż i zgliszczy!

»Ha! póki nas łudzili ci chytrzy kapłanie,
»Że wszystko gdzieś na słusznéj odmierza się szali,

»Że kto mało tu dostał, tam wiele dostanie,
»Znosiliśmy cierpliwie, z nadzieją czekali.

»Dziś, wszystko się zmieniło! Wy, nasi wodzowie,
»O przepotężnéj pięści, o przemądréj głowie,
»Ogłosiliście światu że to bajka święta,
»Że ten okrąg niebiosów jest głuchy i niemy,
»Że niéma tam nikogo co na łzy pamięta.
»Biada nam! Całe życie mamyż, jak bydlęta
»Pracować, jak pies cierpiéć, a potém zdechniemy?
»I już nam się niczego spodziewać nie trzeba,
»Ni nagrody za krzywdę, ni wiecznych narodzin?
»A więc dajcież nam tutaj odrobinkę nieba,
»Chociażby na lat kilka, choć na kilka godzin!

»Głosiliście, że wszystko jest robotą luźną
»Trafu, który na oślep rozmierza i dzieli,
»A dziś nam wyrzucacie żeśmy poszaleli?
»Wstrzymujecie nam ręce? Hola, już za późno!
»Wszak z tych naszych rozkoszy, i mordów, i szału,
»*Tam* nie zdamy rachunku? Więc i o cóż trwoga?
»Prawo? Napiszmy nowe. Pójdźmy do podziału.
»Zróbmy sąd ostateczny — bez was — i bez Boga.«

Muszę odwrócić oczy.

— Spojrzałam po chwili,
Czyż to ci sami ludzie? Jakże się zmienili!
Sprośny rozkład potwornie ich członki przetwarza.

Mózg i żołądek rosną, wysusza się serce.
Zwolna i mózg zanika.
— Co widzę? Z ołtarza
Spadł i cielec, rozbity w błotnéj poniewierce.

Na co wiedza lub złoto? Narody dziczeją.
Wsie i miasta z popiołem wionęły koleją.
W głuchych puszczach nad kośćmi siedzą ludo-
[żerce.

Kilka wieków, a ludzkość staje się poczwarą,
Bez ciebie Wiaro!

* *
*

Będzie-ż tak, czy nie będzie? Okropne pytanie!
Czyją-że dusza dziejów zdobyczą się stanie,
Tych co wierzą i twierdzą, czy owych co przeczą?
Tych którzy błogosławią, czy tych co złorzeczą?

Ach, są chwile przewagi dla zwątpień i chuci!
Wtedy cień na planetę zachodzi człowieczą,
I zdaje się że słońce już nigdy nie wróci!

Wtedy wierni pół-wierni, wołają do ciebie:
»Wiaro! Czy nas ta burza na proch nie rozmiecie?
»My wiemy żeś ty prawdą, wiemy że na niebie
»Zwyciężysz wiekuiście, — lecz dziś, na tym
[świecie,
»Czyż twoja dotykalna budowa nie runie?

»Patrz, oto bije na nią piorun po piorunie.
»Już cała ziemia staje w potępieńczéj łunie!«

Zamilkli. Chwila ciszy przeszła po planecie.
Błysk. Bałwany ryknęły, i ławicą jedną
Idą. — Miljony zbladły.

Lecz są, co nie blédną.
Próżno się poziom dziejów przepaśćmi obniża,
Próżno się krąg niebiosów gromami druzgoce,
My, ściśnioną gromadą skupieni u krzyża,
Nie drżymy. Jak nam zadrżéć na wiecznéj opoce?

Z nieprzełomnych jéj brzegów, o które bijąca
Fala czasu, bezsilnie szklanną pierś roztrąca,
Patrzę bez przerażenia na walkę prastarą,
Uśmiécham się na próżne złych sił rozhukanie,
Widzę wyżéj niż burze, głębiéj niż otchłanie,
I wiarę ci do śmierci poprzysięgam, Wiaro!

Przyszła ciężka godzina, przyjdą cięższe jeszcze —
Lecz niech ziemia się nurza w nicestwowéj nocy —
Niech wyprorokowani »fałszywi prorocy«,
Rzucają ci bluźnierstwa i wróżby złowieszcze —
Niech tłumy cię odstąpią i szepcą o tobie:
»Już kona..... już umarła..... więc nie była bożą?«
Niech się bramy piekielne pod nami roztworzą,
I rydwan Antychrysta zahuczy na globie —
Nie, — struny mojéj harfy głosić nie przestaną,
Żeś ty jest nieśmiertelną i niepokonaną.

Choćby twoja widoma runęła budowa,
I cóż? Stoi w niéj druga, świątynia duchowa.
Ta, wrogom niewidzialna, w sercach się prze-
[chowa.

Byle jedna cegiełka, przepalona żalem,
W jedném sercu została, to dosyć dla Pana,
By się nowa świątynia, nowa Jeruzalem,
Podniosła, z brylantowych łez odbudowana.

Przemocna! Tobie świadczą nietylko niebianie,
Tobie nietylko wieczność probierczą jest miarą,
Lecz i czas buntowniczy uzna twe władanie,
I na ziemi, ostatnie zwycięstwo zostanie,
Przy tobie Wiaro!

1886.

PRZYPISY.

PRZYPISY
DO TOMU DRUGIEGO.

Noc Świętojańska.

Sr. 13. ***Słowik.*** *I do mnie anioł przemawiał w grobie,*
A jam się na to uśmiechnął w sobie:
Kto z nas dwóch lepiéj wie gdzie jest niebo?
. . . .
Człowiek zna więcéj niż aniołowie,
Bo zna cierpienie.
. . . .
Gdziekolwiek żyją w zgodności bożéj,
Miłość z poezją, tam są niebiosa.

W utworze dramatycznym, autor nie odpowiada za uczucia ani myśli osób, wyrażających coraz to inne, często wręcz sobie przeciwne zdania. I w tym Djalogu, autorka uchyla się od wszelkiéj odpowiedzialności za wyżéj przytoczone sofizmata Słowika. Stoją tu one tylko jako streszczenie tych wszystkich rozumowań, któremi „w duecie miłości", głos męzki zwykle przemawia za szczęściem raju ziemskiego, podczas kiedy kobieca dusza — niby róża wysyłająca kadzidło ku niebu — wyżéj zwykle pragnieniami sięga, i za niebiańskiém szczęściem tęskni, a przynajmniéj powinna za takiém tęsknić, jeżeli chce być godną przydomku „płci nabożnéj", jakim ją Liturgja zaszczyca.

Wprawdzie w powyższéj rozmowie, Róża wysłuchawszy Słowika, zamilka; milczenie to jednak nie dowodzi jeszcze, aby miała zmienić przekonanie; wskazuje tylko, że

do czasu zaparła się woli własnéj, i kto wié, czy tą najwyższą bronią miłości, nie otrzyma w końcu zwycięztwa? Kto wié, czy uduchowniający się zwolna pod jéj wpływem Słowik, nie zatęskni kiedyś razem z nią do nieba?

Objawienie się Muzy.

Str. 34.

Podróżny. . . . . . *Którą-że jesteś z dziewięciu,*
Co wawrzyny u szczytów Helikonu wiją?
Muza. *Ja jedna jestem, zawsze byłam jedna,*
Jam jest — Poezja.

Pierwotnie istniało pojęcie jednéj tylko Muzy, ogólnéj przedstawicielki natchnienia, we wszystkich jego objawach. To téż najstarszy poemat Greków, Iljada, rozpoczyna się od wezwania Muzy w liczbie pojedynczéj. Z czasem, gdy prostota pierwszych pojęć zaczęła podlegać coraz misterniejszemu przystrajaniu, cieniowaniu, a zatém i rozdrabnianiu, istność Muz także rozpadała się na coraz liczniejsze działy i poddziały duchowe.

„Muzy. ... Występują one już u Traków, ludu zamiłowanego w poezyi, który mieszkał pierwiastkowo w Pieryi, około Olimpu... Wszędzie prawie osobne im dawano miana lub przydomki, od miast, rzek i źródeł im poświęcanych... Trzem zrazu składali Oloidowie cześć na Helikonie, mianowicie; Metete (myśli), Mneme (pamięci) i Aoide (śpiewowi). Takąż liczbę czczono ich w Sycyjone, gdzie wszakże jedna z nich nosiła miano Polymateja (wielo-umiejętności), toż w Delfi, gdzie od nazw trzech strun cytry przezwano je Nete, Mese i Hypate. Podobnież wspomina poeta Eumelos o trzech Muzach: Kefisso, Apollonis i Borystenis. Następnie ukazuje się ich cztery, jako cór Zeusa i Plusyi, mianowicie: Telxinoe (ucieszycielka serca), Aoide (śpiewająca), Arche (rozpoczynająca) i Melete (rozmyślająca). Daléj siedm, jako cór Pierosa, przodka Pieridów, to jest Neilo, Tritone, Asopo, Heptapora, Achelois, Tipoplo i Rhodia. Filozof Krates wylicza ich ośm. O dziewięciu wspomina najprzód Hezyod, miejsce bowiem w Homerowéj Odyssei (24, 60), gdzie także o dziewięciu jest mowa, ulega

zarzutowi podrobienia. Są one córami Zeusa i Mnemozyny, i mają nazwy: Klijo (oznajmiająca), Euterpe (ciesząca), Thalija (kwitnąca), Melpomene (śpiewająca), Terpsichore (tańcująca), Erato (pieszczotliwa). Polyhymnia (wygłaszająca czyli pełna hymnów), Urania (niebiańska) i Kalliope (piękno-głośna). **Encyklopedyja powszechna**, wyd. Orgelbranda — Tom XIX — Str. 102.

Str. 35.

Podróżny. *Wśród retorów się z dziwną spotkałem legendą,*
Jakby odwieczny mocarz Tracji tajemniczéj,
Był ci ojcem. . . . .
Inni, od bóstw Olimpu twój ród wywodzili.
Muza. *Dosyć. Uśmiechu tylko godzien, kto mi znaczy*
Kolebkę wśród śmiertelnych. Lecz i ten się myli,
Kto mię z Olimpu wywodzi.
. . . .
Starszych od mego rodu jest bóstw tylko troje:
Noc, Chaos i Przeznaczenie.

Według przytoczonego powyżéj ustępu z Encyklopedji, widzieliśmy, że gdy Muz było cztery albo dziewięć, mianowano je córami Zeusa; gdy ich było siedm, uchodziły za córki Pierosa, jednego z pierwobytnych królów staréj Tracji. I nie dziw, że przy rosnącéj liczbie Muz, kiedy ich nazwy, znamiona i zajęcia ulegały coraz ściślejszemu rozgraniczeniu, chciano téż i ciemny ich rodowód coraz wyrazisciéj określić.

Ale dla owéj pierwotnéj, bezimiennéj Muzy, właściwszą się wydaje tradycja najdawniejsza, która stawia ją w rzędzie tych bóstw pół-mitycznych a pół-allegorycznych, jakie zapełniają samą głąb' wyobrażeń greckich. Głąb' ta, nieruchoma, kilku ledwie olbrzymiemi postaciami mglisto zarysowana, mogła-by się nazywać przed-historyczną epoką mitologji; po niéj dopiero nastają dynastje przemiennych bożków i bogiń, których szereg wydziera sobie kolejno krótkotrwałe rządy nad światem.

Pojęta według owéj najstarszéj tradycji, Muza nie może rodzić się ani z żadnego śmiertelnika, ani nawet z samego Zeusa. Zeus owszem jest od niéj nierównie now-

szym; i nierównie niższym, jako bóg przechodni, podczas kiedy ona jest wieczną.

Stosunek ten i dziś jeszcze się ujawnia: Jowiszowi nikt już dzisiaj nie składa pokłonów, a Muzy niejeden jeszcze wzywa. I może jéj wzywać bez grzechu ni śmiechu, bo Muza nie jest boginią, tylko „boską".

Str. 48.

Głos powszechny do A. E. Odyńca.

Gdy w końcu roku 1867-go Kronika Rodzinna zaczęła ogłaszać *Listy z podróży* Odyńca, wnet pomiędzy zachwyconemi czytelnikami, odezwały się głosy twierdzące, że człowiek co żył w tak wyjątkowém zbliżeniu z Mickiewiczem, powinien koniecznie napisać całkowity jego życiorys, i wyczerpującą ocenę jego twórczości, jak to np. Małecki uczynił dla Słowackiego. W roku 1870-m zażądano od autorki, ażeby stała się tłumaczem ogólnego życzenia. Miłe i zaszczytne poselstwo, które w powyższym wierszu znalazło swój wyraz. Wprawdzie prośba tam zawarta, nie została dosłownie spełnioną, pośrednio jednak wydała piękny owoc.

Autor Felicyty, wysłuchawszy *Głosu powszechnego*, odpowiedział ze wzruszeniem, że w jego wieku trudno się już podejmować tak ogromnéj pracy, témbardziéj, że podobne przedsięwzięcie wymaga niesłychanego nagromadzenia materjałów, któreby trzeba ściągać nietylko z różnych stron kraju, ale i z zagranicy.

„Na to wszystko", mówił, „nie stanie mi już pewnie ani sił ani czasu, ale co mogę wam obiecać, to że będę się starał uzupełnić obraz epoki, w któréj widywałem Adama, a mianowicie tych jéj lat pierwszych, co poprzedziły naszą podróż".

I dotrzymując obietnicy, natychmiast po zupełném wykończeniu *Listów*, zabrał się do téj nowéj roboty, z któréj powoli wykwitły prześliczne *Wspomnienia z przeszłości*, ostatnie dzieło jego życia. Choć wydane po *Listach z podróży*, *Wspomnienia* są właściwie jakby przedmową tamtych, i razem z niemi tworzą tę uroczą całość

do któréj zdrowe dusze będą zawsze z rozkoszą i pożytkiem wracały.

Słoneczna Kantata.

Str. 151. *Matko! Ty gwiazdo, co sierocie znika,*
Czemuż nie dano Ci dożyć téj chwili?
Ilu czcicieli dziś jest Kopernika,
Wszyscyby Ciebie uczcili.
Na dziele jego Twe imię zostało.

Wiersze te, może nie dla wszystkich równo zrozumiałe, wymagają kilku słów objaśnienia, a dobra też to i sposobność do sprostowania błędnych lub niedosyć ścisłych wiadomości o tym przedmiocie, który nigdzie jeszcze nie został opowiedziany z należytą wiernością.

W ciągu zimy z roku 1847-go na 1848-my, pomiędzy miłośnikami sztuk i nauk w Warszawie, powstała myśl uczczenia Magdaleny czyli Niny*) z Żółtowskich Łuszczewskiéj, przez wyprawienie na Jéj cześć wielkiéj składkowéj Uczty, jednego z owych „Bankietów", jakiemi ówczesna Europa lubiła objawiać swoje dążności lub sympatje. U nas, miała to być pierwsza uroczystość tego rodzaju, a byłaby — o ile mi wiadomo — i dla innych krajów pozostała pierwszym przykładem podobnego uczczenia zasługi w kobiecie.

Myśl ta znalazła skwapliwe przyjęcie. Na listach składkowych, krążących po wszystkich warstwach społeczeństwa, zapisywali się nietylko uczeni i literaci, artyści i obywatele, ale i wszelcy inni członkowie ogółu, nie wyłączając nawet klassy rzemieślniczéj, tak, że w przeciągu kilku miesięcy. zebrano fundusz — jak na owe czasy — bardzo znaczny.

Gdy wszystko już zostało umówione i przygotowane, w dniu 17-go Lutego 1848-go roku, w południe, deputacja

*) »Nina« jest skróceniem imienia »Maddalenina«, używaném we Włoszech, a ponieważ moja Matka rodziła się w Medjolanie, gdzie Jéj ojciec, należący do armji Napoleońskiéj, przebywał wówczas razem z żoną, tam więc zaczęto córce nadawać tę nazwę, którą i nadal, jako mile brzmiącą, zachowała.

złożona z professorów, artystów, literatów i innych wybitnych osobistości, przybyła do moich Rodziców, dla zaproszenia Ich na ucztę. Mówcy wybrani z pośród grona, wygłaszali po kolei przyczyny i cel swego przybycia.

Ale jakież było zdziwienie obecnych, kiedy Jubilatka odpowiedziała, że chociaż ten dowód życzliwości jest dla Niéj nad wyraz chlubnym i rozrzewniającym, jednakże byłby jeszcze milszym Jéj sercu, gdyby fundusz przeznaczony obecnie na chwilową uciechę, został użyty na spełnienie jakiegoś dzieła trwalszego, „na wyprawienie jakiéjś uczty duchowéj, do któréj mogłyby zasiadać całe pokolenia“.

Wprawdzie, gdy Ją zapytano: „Jakie ma być to dzieło?“ Zamilkła przez chwilę, bo niespodziane zaprosiny zaszły Ją nieprzygotowaną, ale w téjże chwili (jak nam to nieraz późniéj opowiadała), wzrok Jéj spotkał się z promieniem słońca, które zaglądało przez okno i widok nieba sprowadził Jéj prawdziwie niebieskie natchnienie.

Dzięki błyskawicznemu spokrewnieniu pojęć, razem ze słońcem stanął Jéj na myśli Kopernik, i w duszy Jéj przesunął się szereg zapytań:

„Czyż to być może, aby człowiek, co pierwszy odkrył prawa rządzące tém niebem, co pierwszy naznaczył właściwe miejsce temu słońcu, nie był jeszcze dostatecznie uczczonym na ziemi, i to na swojéj własnéj ziemi? Jakto? Gniewamy się, że obce narody śmieją nam go wydzierać, a sami nieumieliśmy jeszcze nawet powtórzyć w ojczystéj mowie słów, jakie zostawił? Piśmiennictwo nasze nie posiada aż do téj chwili ani jednego przekładu xiąg Kopernikowych! Polacy, nie możemy czytać go po polsku! Czyż się to godzi? Czyż samo niebo nie wskazuje wyraźnie, jakie tu dzieło mamy do spełnienia?“

Chwila namysłu była tak przelotną, że słuchacze jeszcze się nie spostrzegli, a już mówiąca zaczęła wszystkie owe myśli wypowiadać głośno; płynęły one z tym wdziękiem krasomówczym, jaki zazwyczaj towarzyszył Jéj gorącéj wymowie. W końcu wyraziła życzenie, ażeby fundusz składkowy został użytym nie na ucztę, ale na wykonanie i wydanie pierwszego polskiego przekładu dzieł Mikołaja Kopernika, „téj“ mówiła „świętéj niejako dla narodu

xięgi, któraby dźwiękiem rodzinnéj mowy, przystępniejszą stać się mogła dla czytającéj powszechności".

Słowa Jéj zostały przyjęte jednym głosem uznania, a choć może znaleźli się i tacy, ktorym było żal owéj uroczystości, zwłaszcza owych świetnych mów i toastów, jakie już sobie naprzód układano, jednakże wszyscy z głębi serca przyklasnęli szlachetnéj myśli, dla któréj ziszczenia, sama Inicjatorka pozbawiała się dobrowolnie wszelkich rozkoszy owacyjnéj Uczty.

Członkowie Deputacji, naradziwszy się pomiędzy sobą, oświadczyli, że na czele zamierzonego przekładu dzieł Kopernika, zostanie zamieszczoną Dedykacja dla Twórczyni pomysłu, i prosili Ją, ażeby objęła najwyższe kierownictwo nad całém tém przedsięwzięciem.

Niektórzy téż z obecnych, przewidując wysokość kosztów, jakich nakład będzie wymagał, przyrzekli, że pomnożą swoje ofiary, jeżeli dotychczasowa składka okaże się niedostateczną, czego i dopełnili w przyszłości.

Nakoniec, przewodniczący Deputacji Józef Djonizy Minasowicz, zamknął posiedzenie ostatnią przemową, w któréj streścił początek sprawy, jéj nowy zwrot i uczucia zebranych. Wszystkie poprzednie odezwy, równie jak i odpowiedź mojej Matki, nie zostały niestety spisane i bezpowrotnie zaginęły. To jedno tylko przemówienie ocalało; mówca bowiem powróciwszy do siebie, tegoż dnia jeszcze z pamięci je spisał i nazajutrz Matce mojéj przysłał. Będąc dotąd w posiadaniu tego rękopismu, przytaczam tu główniejsze zeń ustępy, jako najlepszy „dokument" owéj chwili:

„Nie wypowiem snadno, jak miłego dla mnie dopełniam dziś obowiązku, jak dumny jestem, i tą ufnością która mi tu — spólnie z tymi panami — przemówić dozwoliła, i samém zleceniem, które odebraliśmy w imieniu licznych przyjaciół domu Państwa Wacławowstwa Łuszczewskich, a razem przyjaciół intelligencji polskiéj.

. . . .

„Od lat wielu dłoń Ich gościnna, dom ten dla przyjaciół otworzyła, nie w celu rozrywki kilko-chwilowéj, i dla tego, ulotnéj jak chwila; tu myśl, co nie samym

chlebem powszednim się karmi, pojęła wyższe celo życia, bo potrzeby ducha; i zeszli się pobratymcy w téj dziedzinie, i — jak wprzód czuli przyjaźń, tak tu ją zrozumieli. Ktokolwiek wtórzył myśli żyjącéj w tym domu, ktokolwiek tylko do niéj zatęsknił, przyjmowany był z otwartemi rękoma. Znajomi spieszyli jak do swoich; obcych wyszukiwano po zaciszach; z pod płomyka lampki studyjnéj wyprowadzano pod pełny blask towarzyskiego świecznika; nieśmiałemu dodawano odwagi; bywało, że zbliżając niektórych do siebie, dołożono warstwy nizinie; bo tu wszyscy zszedłszy się, tworzyli jedną całość, jednym ożywioną duchem, przedstawiającą myśl jedną.

. . . .

„Któż nie przyznał od dawna, że salon Pani Łuszczewskiéj był i jest ogniskiem, w którém się zjednoczyły wszystkie barwy pryzmatu wiedzy krajowéj — w którym niejeden pomysł stał się czynem — czasem jeden wieczór, pierwszym krokiem postępu — jedno słowo przychylne, zachętą lub listkiem wieńcowéj nagrody?

„Żeby to sprawić, potrzeba przewagi umysłu, potrzeba siły woli, wytrwałości w czynie; — ale to wszystko jeszcze nie byłoby dość: potrzeba magnetyzmu uczucia. — Będzie bez niego katedra, będzie towarzystwo uczonych — społeczności nie będzie. — I dla tego, cześć kobietom, które, jak Ty Pani, rozumieją, czują i działają!

. . . .

„Działanie kobiety jest ciche, a jest wielkie jak działanie przyrody, ożywcze jak kąpiel rosy dla kwiatu omdlałego od skwaru; cudowne jak wnikanie woni i barwy w jego kielich; i dla tego téż cuda zawsze tworzyło. — Zbłąkanego, po kłębku wywodziło z labiryntów. Na rozdrożu, prawy gościniec drobnym paluszkiem wskazywało. — Gdyby go nie była natchnęła kobieta, truwer nie byłby zdołał cichą romancą przytłumić dzikich wrzasków biesiad, ni brzęku przepełnionych pucharów. — Póty, dufny w żelazną dłoń zamkowiec, spadał jak sęp, z obronnéj swéj skały na braterskie siedziby, a spadał z mordem i pożogą, i rwał

najświętsze węzły społeczne, póki go nie zaklęto dwoma słowy, a te słowa były: Cześć kobiecie! — Skoro dama serca przepasała go kolorami swojemi, wierzył, iż go pocisk nie trąci; wątła tkanka była dla niego paiżą; gdyby nie szkaplerz, byłaby talizmanem. — Dziwy też o nim świat rozpowiadał; a jak nie miał czynić tych dziwów, kiedy wśród waru bitwy, Krzyżowiec spotykał u boku Kloryndę, kiedy ranę wiązała mu w Ptolemaidzie, kobieta?

„Gdyby nie ona, nie miałaby Grecja wieku, który dziś jeszcze świeci w dziejach ludzkości; — bez niéj, nie byłoby może malarstwa ni rzeźby, i jeżeli kunszta — te najprawsze płody pomysłu ludzkiego — śmiały wstąpić w przybytki święte, i jeżeli tam, w obec cudowności bóstwa, nie przestały być cudem człowieka, to dla tego, iż wprzód kobieta-Gracja spojrzała na nie, i powiedziała że *piękne*. — Nie ma artyzmu na Wschodzie, bo nie ma społeczeństwa; nie wolno tam działać kobiecie, ona — w haremie, jéj lice — pod fałdami muślinu.

. . . .

„Jeżelim dotknął niektórych momentów, które wybitniéj przyświecają myśli mojéj w dziejach kultury ludzkości, to dla tego tylko, że Pani sama, nieprzyznałabyś może w całéj pełni téj władzy, jaką zawsze płeć jéj wywierała, a tém mniéj przyznałabyś ją sobie; bo nie z Twego stanowiska oceniać wrażenie odebrane od Ciebie.

„Wrażenie to przecież jest silne w tych, którym pozwalasz gościć w Twym domu; a jest i trwałe, bo nie chwila, ale chwil wiele je wyrobiło, a czas jest probierzem prawdy. Szło tylko o to, jakimby sposobem Ci to powiedzieć?

„Pragnęliśmy prosić Cię, wraz z Małżonkiem Twoim, abyś raczyła siąść z nami u stołu uczty, przy którym grono czcicieli Twoich, chciało Ci wynurzyć słowo podzięki i uwielbienia dla Ciebie, by tém słowem, uprzejmości domu Waszego z polską serdecznością odpowiedzieć.

„Ale słowo byłoby prędko przebrzmiało; obrzęd,

to godzina — echo toastu, chwila. — Czas, większe nad to rzeczy zawiewa, tak jak wicher zawiewa stepy piaskami.

„Jednakże z pod piasków wyjrzy z czasem granit, co go przed lat tysiącami, przekuło w boga plemion minionych, dłuto nieodgadnionego nigdy snycerza. A więc huragan nie zasypał *myśli*, co kiedyś tam miała krew i ciało.

„*Myśl* wielkiego ziomka naszego, którego nam zazdroszczą ci, co nam wszystkiego pozazdrościli, wyczytała w przestrzeniach te prawa, jakie gwiazdom nadał Stworzyciel; naszła na drogi, któremi światy żeglują po bezślednim niebios oceanie. I każdy z nas wie o tém, i cieszy się, i chlubi, i broni zaszczytnéj spuścizny od przywłaszczycieli; ale z tysiąca, jeden ledwie może posłuchać zamarłéj mowy, w któréj te cuda sam mistrz opowiada. Wiemy, *co* myśl natchniona Kopernika odgadła, ale iluż jest takich, którzy wiedzą, *jak* u niego myśl snuła się z myśli, póki myśl nie stała się — prawdą?

„Kopernik pisał tylko dla uczonych świata, i nie zawinił w tém, bo i *ci* go zrozumiéć długo nie mogli; pisał więc narzeczem, jakie wówczas umówili między sobą uczeni, po łacinie. I oto, według Twego własnego wyrażenia: Polak nie przeczyta słów, pisanych przez nieśmiertelnego Polaka!

„Pozwolisz Pani, że na dowód szacunku jaki w nas wzbudziłaś, pod wezwaniem Twego Imienia, i za Twoją wskazówką, oddamy cześć téj myśli, która tyle ma u Ciebie znaczenia, i połączonemi siłami wszystkich których mamy zaszczyt przedstawiać — zajmiemy się, aby przekład polski pism Mikołaja Kopernika, uczynił je przystępnemi każdemu jego ziomkowi, i aby rzeczono w czasie:

„I to także winniśmy kobiecie; była nią Nina **Łuszczewska**".

Na przesłanie tego pamiątkowego rękopisu, Matka moja odpowiedziała listem, w którym także starała się „powtórzyć to, co mimowolne wczorajsze wzruszenie, zbyt słabo oddać jéj dozwoliło". — Tak, dzięki owemu listowi

przechowały się niektóre Jéj wyrażenia zapamiętane ze dnia poprzedniego; wyrażeń tych jednak jest zaledwie kilka, i niemogło ich tam być więcéj, gdy treść listu wymagała odmiennego zwrotu; głównym jego celem było uroczyste podziękowanie wszystkim przedstawicielom społeczeństwa, w których imieniu Deputacja wczoraj przemawiała, i którym dziś miała nawzajem odnieść dziękczynne słowa Jubilatki.

Poczém zaraz, wywiązując się z włożonych na siebie obowiązków, Inicjatorka zajęła się gorliwie pokierowaniem przedsięwzięcia. Przełożenie dzieł Kopernika na język polski, powierzyła Dyrektorowi Obserwatorjum Warszawskiego, Janowi Baranowskiemu; napisanie Żywotu, Professorowi Dominikowi Szulcowi. Zwróciła się téż do archeologów i artystów, których pomoc była potrzebną, a nakoniec, z pomiędzy drukarni, wybrała najlepszą w owe czasy, Stanisława Strąbskiego.

W tym pierwotnym programie, jedna tylko z czasem zaszła zmiana: Professor Szulc zapuścił się w tak mozolne badania historyczne, że nie wydążył z napisaniem Życiorysu Kopernika. W ostatniéj chwili, musiano poruczyć tę robotę Juljanowi Bartoszewiczowi, który mimo krótkości czasu, wykonał ją porządnie. Cenna praca Dominika Szulca wyszła późniéj, w oddzielnéj xiążce.

Ale to wszystko nie tak zaraz jeszcze nastąpiło. Tłumaczenie xięgi **O obrotach ciał niebieskich**, zbieranie materjałów przedwstępnych, wykonywanie rysunków, oraz tysiąc innych wydawniczych zabiegów, potrwało aż do roku 1854-go. A tymczasem, zwykłym biegiem rzeczy ludzkich, lata przynosiły wiele odmian, tak w składzie osób działających, jak i w kierunku ich myśli. Nie wszystkie te odmiany wypadły szczęśliwie... Tutaj téż przychodzi mi dotknąć jedynego rozdźwięku, jaki się objawił w tém dziele, dotąd tak harmonijném.

Z pomiędzy członków dawnéj Deputacji, którzy pod przewodnictwem Jubilatki tworzyli Komitet Wydawniczy, wielu — i to niestety najżyczliwszych — ubyło w ciągu tych lat kilku. Jednych burze rozniosły po dalekim świecie, innych śmierć zabrała. Ci zaś którzy pozostali, zapominając zwolna o pierwotnych zobowiązaniach, coraz to

zazdrośniéj zaczęli usuwać moją Matkę od steru wydawniczego, coraz to samowolniéj wszystkiém rozporządzali. Widocznie, korciło ich pozostawanie pod przywództwem kobiety, korciło ich zwłaszcza postawienie Jéj imienia na czole pomnikowéj xięgi. Zdawało sie im, że byle tylko to imię usunęli, a cała chluba dokonanego przedsięwzięcia spadnie wyłącznie na ich głowy, przynajmniéj w oczach cudzoziemców, nieznających przebiegu sprawy.

Ażeby dopiąć swego celu, cóż poważyli się uczynić? Oto, Dedykację dla Twórczyni pomysłu wyrzucili z całego wydania, i tylko dla niepoznaki zostawili ją w tych kilkunastu exemplarzach, które miały być do Jéj rąk złożone.

Taka zamiana hołdu publicznego na grzeczność prywatną, była potrójném wykroczeniem: raz przeciw prostéj słuszności, drugi raz przeciw solennéj obietnicy, a nakoniec i przeciw długoletniéj przyjaźni, jakiéj doznawali w domu moich Rodziców.

Może sądzili, że tajemny ich spisek, dzięki owym kilkunastu niepokaleczonym exemplarzom, przejdzie niepostrzeżenie? Ale rachuby omyliły, — w ostatniéj chwili zdrada się wykryła, — i ów dzień uroczysty, w którym doręczyli mojéj Matce pierwszy exemplarz Warszawskiego wydania, zamiast przynieść spodziewaną radość, zapisał się owszem przykrą datą w rocznikach naszéj pamięci.

Wprawdzie Matka moja, wyższa nad osobiste względy, pozostała i nadal w uprzejmych stosunkach z temi którzy Ją pokrzywdzili, ale serca Jéj bliskich, tem silniéj krzywdę tę odczuły.

I tak, rozeszło się po świecie wydanie, odarte ze swojéj pierwszéj, pamiątkowéj karty, pozbawione imienia, które je natchnęło, — tryumf zawiści wydał się stanowczym, — i zwolna wszystko zostało przysypane latami głuchego zapomnienia.

Czas jednakże pokazał, że zapomnienie to nie było zupełném, i że — jak powiedział wyżéj przytoczony mówca — „granit Myśli, prędzéj czy późniéj, zawsze wyjrzy z pod zawiewających go piasków“.

Blisko we dwadzieścia lat późniéj, gdy kraj nasz cały, i cała Europa, przygotowywały się do czterechsetnéj rocznicy urodzin Kopernika, widok tych przygotowań roz-

budził we mnie wiele bolących wspomnień, i odnowił uczucie żalu. Tymczasem, właśnie ów rok 1873-ci, miał przynieść mi ukojenie, i choć w części zadośćuczynił temu, czego nie dotrzymała przeszłość.

Główny kierownik ówczesnych uroczystości, zacny Xiądz Ignacy Polkowski, wezwał mnie listownie do wzięcia udziału w Albumie Jubileuszowém. List jego był mi nadzwyczaj miłym, a co mię w nim ucieszyło, to nie zaprosiny do współpracownictwa (zastraszające owszem trudnością zadania), ale powód owych zaprosin, wyłuszczony w następnych wyrazach:

„Dostojna ś. p. Rodzicielka Pani, czynem i słowami zachęcając do tłumaczenia dzieł Kopernika, „*świętemi niejako dla narodu* nazwała jego xięgi, *któreby* „*dźwiękiém rodzinnéj mowy przystępniejsze się stać mogły* „*dla czytającéj powszechności.* I temi słowami, i czynami „podjętemi w sprawie Kopernika, imię swe na zawsze „zapisała w pamięci naszéj. To więc wspomnienie ośmiela mnie do proszenia, w imieniu nas wszystkich .... ażeby Pani zechciała .... itd. itd."

Na takie zaklęcie, dowodzące, że dawne działanie mojéj Matki nie zostało zapomniane między czcicielami Kopernika, i że Jéj to właśnie zasługom zawdzięczam zaszczyt obecnego wezwania, z prawdziwą radością zabrałam się do pracy nad *Słoneczną Kantatą*. A gdy jeszcze znakomity nasz mistrz pędzla, Wojciech Gerson, zamieścił Jéj wizerunek w Jubileuszowém Albumie, — gdy Komitet Wielkopolski zażądał, ażebym na dzień Obchodu, przysłała do Torunia ów pierwszy exemplarz Jéj ofiarowany, i zwrócił mi go z podpisami Delegatów, stwierdzającemi na nowo Dedykacyjną kartę, — gdy w wielu ówczesnych przemówieniach i xiążkach, odnalazły się dla Niéj słowa sprawiedliwości, — wtedy serce moje swobodniéj odetchnęło, bo chociaż te kwiaty uznania wyrastały późno, chociaż Ta dla któréj miały kwitnąć, niemogła już ich widzieć ziemskiemi oczami, jednak i to jest pociechą, kiedy na drogim grobie, znajdziemy wieniec położony przez życzliwą rękę.

Str. 153. ... *Wśród pokus, szedł tak nieskażenie.*
Że gdzie stopę zatrzymał, rosła lilja biała.
Str. 155. *Przywdział szaty duchowne. I nietylko szaty:*
Żył jak duch.

Na wysokie cnoty Kopernika, żaden z jego biografów nie zwrócił tyle uwagi, co Jan Czyński (**Kopernik et ses travaux** — Paris — chez Renouard — 1847) i ta etyczna cecha nadaje rzadką podniosłość jego xiążce. Autor chciałby nawet widzieć naszego nieboznawcę zaliczonym w poczet Świętych Pańskich. Nie przesądzając słuszności podobnego życzenia, musimy wszakże przyznać, że był to człowiek nietylko zjawiskowo wielki, ale i zjawiskowo czysty; w całém jego życiu niemożna znaleźć *ani jednego cienia;* a ileż tam świateł! I jakich!

„Kopernik a été le premier des hommes auquel le Créateur révéla ses secrets, le plan de la création, la pensée qui préside au mécanisme de l'univers. Il m'est impossible de donner une idée exacte de mon bonheur après avoir approfondi la vie et les travaux de cet homme incomparable, aussi hardi penseur que catolique pieux. Quand tout le monde s'incline devant le génie de Kopernik, quand chacun rend hommage à la justesse de son systéme, à la précision de ses calculs, quand les poètes divinisent sa raison, moi je me prosterne devant sa piété. Non, non, ce ne fut pas un hasard, un coup de fortune, un heureux élan d'esprit qui conduisit Kopernik à la découverte la plus précieuse. Il faut l'attribuer à sa confiance dans la sagesse de Dieu. Kopernik ne s'arrogeait pas la puissance législative, il n'a pas créé un systême, il observait, il cherchait une combinaison digne de la prévoyance divine, et après trente ans de recherches laborieuses, il trouva le systéme du Créateur". **Kopernik et ses travaux** par Jean Czyński — Paris — 1847 — pag. 5. — „Le sentiment religieux qui présidait à ses recherches et à ses actions, n'a pas attiré l'attention de ses historiens. Pas un n'a cherché sous ce rapport l'influence qu'il a produit sur les grands hommes qui l'ont suivi". **Tamże** — p. 13. — „Je rends grâce à Dieu qu'il m'ait permis de consacrer mes veilles à l'étude sur Kopernik. Aucune vie ne résume mieux l'alliance

de la *religion* et de la *science*. C'est dans cette union que résident l'*unité* et le noeud gordien de l'avenir". **Tamże** — p. 19.

Str. 155. Tknięty ogromem cierpień co ludzkość druzgoce,
Zaczął szukać w przyrodzie zdrowiodawczych cudów;
Ze ziół Hipokratycznych zbadywał jéj moce;
Wędrowiec, pośród obcych wyśledzał je ludów.

„Pod jesień 1501 r. powitawszy ulubioną ziemię Włoską, powitał powtórnie uczoną Akademję Padowską, najsłynniejszą medycznym wydziałem. Tu... uczęszczał najprzód na wszystkie wykłady medycyny, czytał wiele... studjował ogólniki Hipokratesa, utwierdzał je w pamięci swéj, do anatomji największą przywiązując wagę, z któréj... popisywał się w Padwie wracając z Włoch do Polski, za co i stopień doktora medycyny otrzymał". **Żywot Mikołaja Kopernika** przez Xiędza Ignacego Polkowskiego — Gniezno — 1873 — Drugie wydanie — Str. 151.

Str. 155. Kolejno wypytawszy narody i wieki,
Wrócił nad Wisłę, osiadł w miasteczku ubogiém;
Tam własnemi rękoma przyprawiając leki,
Rozmawiał z prostaczkami, albo milczał z Bogiem.
Cisnęły mu się rzesze u okien i bramy.

„Cependant la modeste retraite de Kopernik se remplissait chaque jour de malades pauvres. Non seulement il leur donnait des conseils, mais, habile dans l'art de préparer les remèdes, il leur offrait des médicaments. Ses cures presque miraculeuses lui firent une si grande renommée, que les malades des contrées éloignées, delaissés par d'autres médecins, arrivaient auprès de lui. Les docteurs les plus distingués, dans les cas difficiles, écrivaient à Kopernik en faisant appel à son savoir et à son expérience". **Kopernik et ses travaux** p. J. Czyński — Paris — 1847 — p. 69. — „L'évêque Gisius assure... que dans l'art de guérir il était si heureux et si habile, qu'on le prenait pour un nouvel Esculape. Il préparait certains médicaments avec tant de soin et de bonheur, il les appli-

quait si heureusement, que les pauvres, soulagés par ses soins, le vénéraient comme une divine providence. „Addi-„dit vero *Gisius* cum fuisse quasi alterum Aesculapum in „medicina habitum: id inter pretari sic docet quod singu-„laria quaedam remedia et probe calevet, et ipse paravet „et feliciter adhibovet, ea eroganda in pauperes qui ipsum „id circo ut numen quoddam venerarentur". **Tamże** — p. 96.

„Zadziwiające jego wiadomości w téj gałęzi nauk rozeszły się wkrótce po całym kraju, i nadały mu imię Eskulapjusza. Sam nawet dawny nieprzyjaciel książe pru-ski Albert w r. 1541 wezwał jego pomocy do jednego z doradców swoich (Jerzego Kurheima), dotkniętego ciężką słabością. Kopernik jednak nie czyniąc z medycyny powołania życia na większy rozmiar, w odosobnieniu swojém najżywszą znajdował przyjemność w niesieniu ulgi cierpieniom niedostatniéj ludzkości". **Życie Mikołaja Kopernika** przez Dominika Szulca — Warszawa — 1855 — Str. 48.

Str 156. Ilekroć głos narodu zawołał nań: „Synu!"
Gwiazdą obywatelską przyświecał do zgody.
Obecny, gdy żądano rady albo czynu,
Znikał, gdy rozdawano dostojne nagrody.

„Zasłużył się Kapitule, Biskupom i królom, zasłużył się nauce... ale w ogóle życie prowadził więcéj samotne, kontemplacyjne, dalekie od blasków światowych". **Życie M. Kopernika** przez Juljana Bartoszewicza w Warszawskiém wydaniu dzieła: *O obrotach ciał niebieskich* — 1854 — Pag. LXVIII.

Jak *obywatelska* działalność Kopernika była szeroką i niezmordowaną, łatwo się przekonać ze wszystkich jego życiorysów, a zwłaszcza z przewybornéj pracy Xiędza Ignacego Polkowskiego: *Żywot Mikołaja Kopernika*, wydany w Gnieźnie w 1873-m *). Ale też czytelnik przekonywa się tam zarazem, jak ów mędrzec z gołębią duszą, nieumiał dla samego siebie o nic się upomnieć, jak — mówiąc po-

*) Xiążka ta, oprócz wielu rzeczy cennych, zawiera tak wyczerpujące i zwycięzkie udowodnienie narodowości polskiéj Kopernika, że od czasu jéj wyjścia, wszelkie pretensje Niemców stały się już po prostu — niemożebne.

spolitém wyrażeniem — nieumiał się między ludźmi „sprzedać“. To téż omijały go najzasłużeńsze zaszczyty i godności, naprzykład Biskupstwo Warmińskie, na które Zygmunt I-szy czynnie go popierał w 1537-m roku. Pomimo królewskiego zalecenia, Kapituła wolała uczynić inny wybór, przez co pokrzywdziła naprawdę nietylo Kopernika, ile samą siebie. Nie przeczuła, jak wielkiéj chluby w dziejach się pozbawia.

Str. 157. . . . . . Co wieczór, nad szumną otchłanią,
Otwierał wszystkie ganki schludnéj swéj komnaty,
Z trzech stron oblanéj morzem.

W **Pismach Jana Śniadeckiego** (wydanie M. Balińskiego — Warszawa — 1837) w Tomie Drugim, w *Rozprawie o Koperniku*, czytamy na Stronnicach 202-éj i 205-éj:

„Tadeusz Czacki... i Marcin Molski... objeżdżając Prusy dawne Polskie i Warmją, o Koperniku to mi donieśli w liście swoim, 12-go Sierpnia 1802 z Królowca pisanym:

„Byliśmy w jego domu: nie wielką na wyższém
„piętrze zawiera izbę, z któréj jest galerya do dawnéj
„jego *Gwiazdowważni*, i schody jeszcze z dołu można
„w ułomku widzieć. Na trzy strony miał przesmyk mor-
„ski w widoku, a na czwartéj równinę, którą, postawiona
„późniéj wieża zasłoniła, itd.“

Str. 157. . . . . Wpatrywał się w światy,
Pytał o nie Chaldeów i Ptolomeuszów.
Ich odpowiedź, zwikłana była i nieśmiała.
I dziwił się, że praca największych geniuszów,
Tak nieudolne dzieło Bogu przyznawała?

„Pendant quatorze siècles l'école de Ptolomée, s'appuyant sur des suppositions erronées, égarait les recherches des mathématiciens et des philosophes. Dans le mécanisme du monde sidéral, on remarquait une anarchie, un désordre, un manque de plan et d'ensemble. C'était une cohue bohue qui faisait pitié. C'est ce qui fit dire à Alphonse, roi de Castille: „Si Dieu m'avait demandé conseil sur l'oeuvre de la création, j'aurais préparé un plan plus simple et plus raisonnable“. Kopernik prit ces paro-

les pour un blasphème. Au lieu d'accuser le Créateur d'ineptie, il préféra condamner les recherches humaines. Il était convaincu que Dieu ne pouvait pas produire une oeuvre discordante et monstrueuse. Cette conviction pieuse anima son courage, présida à ses recherches, et après de pénibles efforts lui permit de découvrir la plus parfaite harmonie dans le plan du grand architecte de l'univers. Découverte précieuse, parce qu'elle nous dévoile la pensée divine. En examinant l'ancien système, Kopernik s'étonne que les mathématiciens et les philosophes n'aient pu donner aucune forme harmonieuse au mécanisme de l'univers, et que toutes ses parties manquent d'ensemble et de symétrie. „On peut, dit-il, comparer leur ouvrage à celui qui „aurait ramassé, de différents endroits, les mains, les pieds, „la tête et d'autres parties du corps, qui n'ont aucun rap- „port les uns avec les autres, de sorte qu'il en composerait „plutôt un monstre hideux qu'une créature humaine... En „examinant cette monstruosité dans le mécanisme sidéral, „et ce manque de précision dans les recherches des ma- „thématiciens, *mon âme en souffrait* de ce qu'on n'avait pas „trouvé la raison certaine du mouvement sidéral, qui, „d'après notre avis, a été créé par le plus sage et le plus „parfait des ouvriers“ *). Voilà le vrai motif de toutes les recherches de Kopernik, de son courage et de sa persévérance“. **Kopernik et ses trav.** p. J. Czyński — p. 5. et suiv.

Str. 158. . . . . W xięgę zaklął te odkrycia,
Lecz xięgę ukrył. Chwały lękał się jak zbrodni.

„Lat trzydzieści sześć chował je w ukryciu przed światem“. **Życie M. Kopernika** przez J. Bartoszewicza w Warszawskiém wyd. z 1854 — Pag. LXXIII.

„Wielki ten człowiek... ani praw własności, które ma do swych wynalazków, żadném przywłaszczeniem, ani swéj chwały żadną nie skaził próżnością. Wylany na dobro prawdy i nauki, stał się tym wszystkim drobnym poruszeniom niedostępny, i dla tego, żeby z nauką tak śmiałą oswoić uprzedzone umysły, stara się prawie odjąć jéj postać nowości... Kiedy przyszło tak wielkie odkrycie światu

*) W liście Kopernika do Papieża Pawła III.

ogłaszać, nie chciał tego ludziom dać uczuć, że oni się mylili i błądzili przez tyle wieków; a tak kojąc urazę przesądu i miłości własnéj we współczesnych, pozbierał i poprzytaczał z pisarzów dawnych, co tylko do jego wynalazku było stosowne, i co mogło zasłonić nowość pozorem dawnéj nauki." **Dzieła Jana Śniadeckiego** — wyd. Balińskiego — Warszawa — 1837 — Tom Drugi — *Rozprawa o Koperniku* — Stron. 113 i 143.

„To był grzech jego skromności, iż z prac jego, czego wprzód sława po Europie nie rozniosła, czego Retyk jego uczeń nie wyprosił, czego przyjaciele i znakomici powagą ludzie prośbami i naleganiem nie wymogli, tego on światu nie wydał i nie pokazał." **Tamże** — Str. 124.

„Muler (wydawca trzeciéj edycji dzieł Kopernika, w Amsterdamie 1617 r.) ajoute qu'il ne voulait briller en aucune manière, et qu'il ne tenait pas même à ce que son ouvrage fut publié. Étranger à la vanité, dit-il, il consacrait tout son temps à la recherche de la vérité, c'est pourquoi aprés sa mort sa gloire brille d'un éclat plus vif. „Sed a gloriolae aucupio plane aljenus, soljusque veritates indagandae studio flagrans, dum vixit, latuit, quo tanto vegetior ejus post cineres splenderet ac pervennaret gloria." **Kopernik et ses trav. p. J. Czyński** — p. 170.

„Enfin Kopernik après avoir verifié par le calcul et l'observation la justesse de cette hypothèse, ne dit pas: „Tel est *mon* système", — il s'écrie: „Voilà l'oeuvre divine du plus grand et du plus parfait artisan. Tanta nimirum est divina hoec optimi, maximi, fabrica." **Tamże** — p. 10.

Do jakiego stopnia ten wielki mąż posuwał już nietylko skromność, ale i najgłębszą (istotnie godną świętych) pokorę, jak mało ważył zasługi swego genjuszu, a tylko w sumieniu szukał probierza prawdziwéj wartości, na to najlepszym dowodem jest jego słynny czterowiersz, który zawsze miał przed oczyma, i kazał na grobie swoim wyryć.

„W Olsztynku... równie jak w Frauenburgu urządził sobie dom mieszkalny, a komnaty swoje po uczonemu tu przystroił. Nad kominem były przylepione, na pargaminie pisane wiersze nabożne, które własną ręką pisał i ułożył:

Non parem Paulo gratiam requiro,
Veniam Petri neque posco, sed quam
In crucis ligno dederas latroni,
Sedulus oro.

Żywot Mik. Kopernika przez X. Ign. Polkowskiego 2-gie wyd. — Gniezno — 1874 — Str. 197.

„Le corps de Kopernik fut déposé dans l'église de Warmie. Une pierre modeste, avec une inscription analogue, indiquait au passants que dans cet endroit reposait plutôt un humble pécheur qu'un sage qui illustra sa patrie et honora la science:

Non parem Paulo gratiam requiro,
itd. jak powyżéj.

„*Je ne demande pas la grâce accordée à Paul, ni*
„*celle donnée à Pierre. Je sollicite seulement la faveur que*
„*Vous avez faite au larron attaché à la croix.*

Cette inscription sur la tombe de Kopernik, peint avec éloquence l'humilité d'un catholique pieux qui a beaucoup souffert, et qui rejette au loin toute prétention vaniteuse. Après avoir rempli sa vie par des actes charitables, après avoir rendu des services immenses à la science, il ne sollicite que la faveur du pécheur pardonné." **Kopernik et ses trav.** par Jean Czyński — pp. 85 et 86.

Str. 158. Mdlejącą ręką xięgę wydobył z ukrycia,
Oddał ją między ludzi, — i wstąpił w konanie.
Raz jeszcze się obejrzał z grobowego progu:
Ujrzał blask swojéj xięgi nakształt wschodu słońca.
Potém oblicze duszy obrócił ku Bogu,
I zapatrzył się w Prawdę widzeniem bez końca.

„Astronom nasz postanowił... przed samą śmiercią wydać xięgę *O obrotach ciał niebieskich*... Najpierwszy exemplarz przysłano autorowi do Frauenburga, ale mąż wielki już dogorywał. Spojrzał tęsknym wzrokiem na swoją xiążkę... i oddał duszę Bogu." **Życiorys Mik. Kopernika** przez Jul. Bartoszewicza w Warszawskiém wyd. dzieła **O obrotach** — 1854 — Pag. LXXII i LXXIII.

„Toute la vie de Kopernik est en parfaite harmonie

avec sa croyance religieuse. Il embrassa à Cracovie l'état ecclésiastique par vocation, il en remplit tous les devoirs avec une exactitude exemplaire. Aux derniers moments de sa carrière terrestre, quand ses amis lui remirent le premier exemplaire de son ouvrage imprimé, il le prit dans ses mains, il le contempla un moment, mais bientôt, recevant le saint Sacrement, il ne s'occupa que du Juge suprême, devant lequel il allait paraître. — „Il s'éteignit", dit M. Arago, „en tenant dans ses mains défaillantes le premier exemplaire de l'ouvrage qui devait répandre sur la Pologne une gloire si éclatante et si pure". — Gassendi ajoute: „Il est mort comme il a vécu. Atque hujus modi quidem vita, hujus modi mors Kopernici fuit." **Kopernik et ses travaux** par Jean Czyński — Paris — chez Renouard — 1847 — pp. 12 et 13.

Str. 159. *Mistrze co po nim dobiegły celu,*
To pchnięciem przez niego danem.
W świątyni wiedzy, kapłanów wielu,
Ale on, Arcykapłanem.

„Niezmierna ta przestrzeń nowych prawd i widoków, przebieżona lotem rozumu w jednym prawie wieku, zaczęła się dopiero wtenczas odkrywać, kiedy przy głębszéj uwadze, nauka Kopernika szerząc się i utwierdzając, sięgała ostatniego stopnia pewności. Bieg ziemi i porządek ciał niebieskich przez Kopernika wskazany, albo prowadził do nowych prawd i wynalazków, albo podsuwał trafne i prawdziwe tłumaczenie nowych fenemenów na niebie postrzeżonych, którychby niepodobna było pojąć i wytłumaczyć bez téj nowéj nauki. Bez niéj Kepler byłby praw na biegi ciał niebieskich nie odkrył; a bez praw Keplera nie byłby Newton praw attrakcyi wynalazł... Kiedy więc z chlubą i zadziwieniem zatrzymamy dziś uwagę w Astronomji nad pojęciem ludzkiém, okrytém blaskiem wiadomości, daleko i szybko się rozchodzącém; w przybytku chwały i nieśmiertelności zobaczymy Keplera, Newtona, i cały po nim idący szereg wielkich ludzi, jako rozniecających pierwszą iskrę światła, którą Kopernik rzucił w ciemnościach Fizyki niebieskiéj." **Dzieła Jana Śniadeckiego** — Warszawa — 1837 — Tom Drugi — Stron. 152 i 155.

Ta palma pierwszeństwa, to „Arcykapłaństwo“ między nieboznawcami, są już dziś ogólnie Kopernikowi przyznane. Nietylko głosy swoich, lecz i obcych oddają mu pod tym względem sprawiedliwość, któréj żadne współzawodnictwo nie zdołało przyćmić. I tak (w roku 1844-m) kiedy wyszła w Londynie rozprawa Lacha Szyrmy pod tytułem: **Copernicus and his native land**, pisarz angielski Dr. Worthington dodał do niéj wiersz pełen zapału, którego koniec brzmi jak następuje:

„Umieszczony na tronie z Newtonem w gwiaździstych sferach, Kopernik rozwija słuchającym uszom, przedziwne prawa, które przyrodzenie mu odsłoniło. i *które bez niego, nawet dla Newtona byłyby ciemne.* Tak Polska sława miesza się z samego Boga wszechmocnością, i żyje w krainach wiecznego światła.“ (Patrz w **Żywocie Mik. Kopernika** przez X. Ign. Polkowskiego, stron. 327-mą, gdzie przekład polski tego wiersza jest przytoczony w całości).

Str. 166.

Dwa pokolenia.

Wierszyk ten został napisany pod muzykę na żądanie Napoleona Ordy, zacnego męża, wdzięcznego rysownika i kompozytora. który po czterdziestu kilku latach spędzonych na tułactwie, wrócił do kraju pełen roztęsknienia i rozradowania, ale tu, zastał pokolenie tak odmienne od ludzi jakich niegdyś żegnał, i między swemi uczuł się tak obcym, że mimo najżyczliwszego przyjęcia, długo nie mógł się uspokoić ni ukoić.

Nieraz opowiadał autorce te swoje wrażenia. Gdy więc zażądał, aby dla niego napisała piosenkę, (do której miał zamiar dorobić melodję), najstosowniejszym przedmiotem wydało jéj się odmalowanie jego własnych uczuć, tém bardziéj że te uczucia — nawet i bez pólwiekowéj wędrówki — odnajdują się mniéj więcéj w duszy każdego człowieka, który przeżył kilka pokoleń.

Pod niebieską chorągwią.

Str. 193. *O Michale Archaniele,*
Ty, co z niezłomną buławą u ręki,
W niezłomnie wojującym hetmanisz kościele,
Dzięki ci od wszech ludów i pokoleń! Dzięki,
Że po raz wtóry stanąć zechciałeś na czele,
Już nie anielstwa, ale człowieczeństwa.

„Michał Archanioł, poczytywany był zawsze za najwyższego wodza wszystkich duchów niebieskich, i za głównego Patrona Kościoła, jak był głównym Opiekunem Synagogi Żydowskiéj przed przyjściem Zbawiciela... W dziesiątym Rozdziale swojego Proroctwa pisze Daniel, że tak wyraził się do niego Anioł: „A żaden nie jest pomocnikiem moim w tém wszystkiém, jeno Michał Xiąże *wasze*", a potém przydał mówiąc o ostatecznych dniach świata: „A czasu onego powstanie Michał Xiąże wielki, który stoi za synami ludu twego" *). Święty to Michał także okazał się Jozuemu, gdy on przebył rzekę Jordanu, a zapytany wtedy od niego kim jest, odpowiedział: „Jestem Hetman wojska Pańskiego..." **) Nakoniec on to głównie powoła świat cały na Sąd ostateczny, i w walce jaką wtedy stoczy jeszcze raz z Lucyferem, pokona go... Pismo Boże wyraźnie zapowiada, że w najcięższych przejściach dla Kościoła, święty Michał stanie w jego obronie... i jedna z Antyfon święta dzisiejszego głosi: „Michał Archanioł przybędzie w pomoc ludowi Bożemu, stanie na ratunek duszom sprawiedliwych." **Żywoty Świętych Pańskich** przez O. Prokopa Kapucyna — Warszawa — u M. Orgelbranda — 1874 — *na dzień Ś-go Michała* — Str. 827 i nast.

Psyche i Fenix.

Str. 198. *Każą mi żywcem zstąpić do Hadesu,*
I ztamtąd przynieść skarb dziwny, jedyny,
Jakiego tajni Wenus nie dociekła.

„W mitologii greckiéj zasłynęło podanie o Amorze i Psyche, jako allegorja stosunku duszy ludzkiéj do miłości

*) Dan. X. 13. XII. 1. — **) Joz. V. 14.

bożéj. Według najstarszego mytu, była Psyche córą bożka słonca i Entelecheji (bezustannéj dążności ku górze)...." Po zniknięciu Amora, „niepocieszona Psyche błąkała się... i dotarła wreszcie do pałacu samejże Wenery. Tu dopiero rozpoczęły się najsroższe jéj cierpienia. Wenus zatrzymała ją u siebie w niewoli, i najcięższe na nią, jako na niewolnicę, wkładała roboty. Psyche uległaby była pod ich ciężarem, gdyby zakochany w niéj zawsze Amor, nie był jéj wspierał tajemnie i niewidomie. Ostatniéj wszakże próby o mało nie stała się ofiarą; był to rozkaz przyniesienia słoika z maścią do utrzymania piękności (kosmetyku) z krainy cieniów, od Prozerpiny. Wprawdzie wyprawę tę odbyła szczęśliwie, ale gdy ciekawością wiedziona słoik otworzyła, buchnęła zeń odurzająca para, która Psychę powaliła o ziemię bez życia. Wtém ukazał się Amor, a dotknąwszy się jéj strzałą, życie ulubionéj przywrócił. W końcu dała się i Wenus ubłagać, a Jowisz obdarzywszy Psychę nieśmiertelnością, na wieki ją z kochankiem połączył." **Encyklopedyja Powszechna** wyd. S. Orgelbranda — Tom dwudziesty pierwszy — Str. 734—735.

Trzeba zaiste podziwiać, z jaką misternością Grecy umieli zamykać wielkie i poważne prawdy, w swoich na pozór lekkich, mitologicznych opowieściach. Jedną z najcudowniejszych takich powieści są niezaprzeczenie dzieje Amora i Psychy, a w tych dziejach jednym z najgłębszych i może najmniéj zauważonych szczegółów, jest ów słoik z Prozerpinowym kosmetykiem. Oznacza on wyraźnie, że najwyższy stopień piękności, czyli czar duchowy, nie może być zdobytym inaczéj, tylko przez cierpienie. To téż Wenera wyobrażająca piękność czysto-zewnętrzną, Wenera śmiejąca się wieczyście, nieznająca bólu ani śmierci, nie posiada go na swym Olimpie; jest-to jedyny „sekret piękności" niedostępny dla niéj. Sekret ów leży w krainie łez i smutku, w ręku Prozerpiny, monarchini duchów. Tak te dwa rodzaje piękności przedzielone są całą przepaścią trzech światów, i dopiero dusza ludzka może je w sobie połączyć, ale na to potrzeba, ażeby „przeszla za życia przez piekło", a jeśli ztamtąd powróci zwycięzko, natenczas do jéj Wenusowych wdzięków, będzie przydany i urok męczeństwa.

Uwaga. Większa część poezji zamieszczonych w tym zbiorze — zwłaszcza początkowych — uległa licznym i gruntownym poprawkom. Uległy im nawet utwory improwizowane, które też dla tej przyczyny nie noszą tu już nazwy „improwizacji" *). Gdyby się znalazł dziś jeszcze ktoś taki, coby te przeszłe próby chciał widzieć w ich pierwotnéj postaci, ten łatwo je napotka w dawniejszych wydaniach, gdzie wydrukowane są bez żadnéj zmiany, z całą pstrocizną, jaką nieodzownie wiedzie za sobą ciągłe szukanie nowych dróg i kształtów.

Odmienną jest cecha niniejszego zbioru. Ponieważ pisarz ma prawo życia i śmierci nad swemi dziełami, ponieważ ma przytém i obowiązek doprowadzenia ich do największéj doskonałości, na jaką się tylko może zdobyć, tu więc autorka nie pożałowała czasu ani pracy, ażeby te różnotonne odgłosy lat wielu, dostroić do jednego mniéj więcéj „kamertonu", tak pod względem techniki jak i pojęć, i ażeby ujawnić w nich stopień harmonji, do jakiéj życie dostroiło jéj duszę.

Nie wszystkie jednak owoce przeszłości, zasługiwały na tak mozolne przeszczepianie. To też mnóstwo ich ztąd odpadło. I tak — że tylko jeden przykład przytoczymy — z całych dwóch tomów *Improwizacji i Poezji* przed laty wydanych w Warszawie (pierwszy przez J. Ungra w 1854-m, drugi przez S. Orgelbrandd w 1858-m) ledwie kilkanaście utworów znalazło tu miejsce. Reszta, jako zbyt niedojrzała czy w formie czy w treści, została stanowczo przez autorkę odrzucona, i z przyszłych wydań — jeżeli ten zbiór ich się kiedy jeszcze doczeka — powinna być zawsze wykluczaną.

*) Improwizacji w tym zbiorze jest dziewięć: Taniec, Lilja, Rzeźbiarstwo, Kamienie, Rzeczywistość i Wyobraźnia, Góry, Odpowiedź, Sen, Trzy róże. — Z tych, ostatnia tylko pozostała w niczém niezmienioną.

SPIS PRZEDMIOTÓW
ZAWARTYCH W XIĘDZE DRUGIEJ.